

ANDRE NORTON

PLANETA VOODOO

(Przełożył Marek Obarski)

I

Lepiej nie mówić o upale na Xecho. Ta nasyciona wodą gruntową planeta, będąca niemal w całości gorącym oceanem, łączy w sobie wszystkie najbardziej niemiłe przymioty łaźni parowej. Można tu jedynie pomarzyć o chłodzie i zieleni - jedyny skrawek ładu, to wąska jak żądło wstęga wysepek. Na jednej z nich, na maleńkim cypelku, o który rozbijały się fale, stał młodzieniec w hełmie kosmonauty z dystynkcjami szefa transportu. Oprócz hełmu miał na sobie jedynie skąpe szorty. Bezwiednie stał dłonią z opryskanej piersi krople gorącej wody, wypatrując przez przeciwsłoneczne gogle skrawka spokojnego morza. W porę opamiętał się, odsuwając pokusę kąpieli, bowiem szaleniec, który chciałby zanurzyć się w morskim ukropie, straciłby całą skórę. W przeciągu kilku sekund żyjące w cieczy organizmy wysałyby ją ustami - jeżeli w ogóle posiadały usta. Skórożerne stworzenia czekały tylko, aż nierozważny Terranin znajdzie się w wodzie!

Dan Thorson oblizwał wargi smakując sól. Napatrzył się już dość na gorący ocean i powracał teraz, brnąc z trudem przez rozpalony piasek portu kosmicznego do miejsca postoju „Królowej Słońca”. To był wyjątkowo męczący dzień, pełen utarczek i sprzeczek. Wciąż musiał biegać w tę i w tę, jak chłopak na posyłki, przekazując polecenia kapitana pracującym pod gołym niebem mechanikom, którzy poruszali się jak muchy w smole. Tak się przynajmniej wydawało rozdrażnionemu zastępcy szefa transportu, który nigdy się nie lenił. Kapitan Jellico zamknął się na cztery spusty w swej kabinie, by zachować odrobinę spokoju. Dan nie mógł sobie pozwolić na podobną ucieczkę. „Królowa Słońca” zgodnie z planem miała służyć po przebudowie jako statek pocztowy. Okazało się jednak, że projekt nie uwzględniał działania wilgoci, która spowodowała nie tylko korozję, ale przede wszystkim działała na wewnętrzne obwody robotów-monterów, wykonujących nieściśle polecenia, co doprowadzało do szwajcarskiej pasji mechaników sterujących pracą automatów. „Królowa Słońca” miała właśnie wystartować w kolejną podróż kupiecką, kiedy wielozadaniowy statek Konsorcjum przewożący dotąd pocztę kosmiczną zbiegł i został wypisany z oficjalnego rejestru przewoźników intergalaktycznych. Załoga „Królowej Słońca” otrzymała polecenie odpowiedniego przemodelowania statku, który miał odtąd służyć również do przewożenia przesyłek pocztowych. Wilgoć i upał panujące na Xecho utrudniały przebudowę ładowni. Na szczęście większość prac

została już wykonana. Dan dokonał właśnie ostatniej inspekcji, podpisał protokół odbiorczy i zamierzał zdać relację kapitanowi. Kiedy znalazł się w przewiewnym, klimatyzowanym wnętrzu „Królowej Słońca”, odetchnął z ulgą. Powietrze na pokładzie statku było chemicznie czyste, ale stęchłe. Jednak dzisiaj wdychał je z przyjemnością. Wszedł do kabiny kąpielowej. Wreszcie znalazł się w miejscu, w którym nie brakowało chłodnej wody - przefiltrowanej z gąbczastej, nasyconej parą otuliny. Zimny strumień przyjemnie ochłodził jego wycieńczone upałem młode ciało. Ubierał się właśnie w lekką, przewiewną tunikę, gdy odezwał się brzęczyk przy władze na pomost. Dan podniósł się na uginających się nogach, gdyż załoga „Królowej Słońca” liczyła w tym momencie zaledwie cztery osoby wliczając jego samego, którego traktowano zwykle jak chłopca na posyłki. Kapitan Jellico przebywał w swojej kabinie, dwa poziomy wyżej. Medyk Tau przypuszczalnie robił przegląd narzędzi lekarskich i medykamentów, a Sindbad - kot okrętowy - drzemał w jakiejś pustej kabinie. Dan rzucił tunikę na swoje miejsce i pełen obaw ruszył na pomost. Ale na ekranie wizjera nie zobaczył, jak przypuszczał, nadzorcy robotów. Niezwykły gość zrobił wrażenie na młodym kosmonaucie, chociaż Dan już przywykł do osobliwych istot, zarówno ludzkich, jak i obcych.

Przybysz był wysokim, spokojnym mężczyzną o smukłej sylwetce, którą podkreślały zarówno wąskie biodra, jak i długie nogi i ręce. Nosił popularne szorty, jakie noszą osadnicy na Xecho. Jego ciemna skóra sprawiła, że choć spodenki były w modnym szafranowożółtym kolorze, błyszczały jakby uszyto je z najdroższej tkaniny. Gość nie wyglądał jednak jak Murzyn o jasnobrażowej skórze, pod którego rozkazami Dan służył poprzednio, choć zdawał się mieć wiele wspólnego z czarnoskórymi mieszkańcami Terry. Miał naprawdę czarne ciało, tak czarne, że jego skóra wydawała się prawie granatowa. Zamiast koszuli czy tuniki nosił dwa szerokie pasy ze skóry skrzyżowane na piersi. W miejscu przecięcia, mienił się wszystkimi barwami ogromny medalion, który roziskrzył się blaskiem diamentu, kiedy gość oddychał. Zamiast standardowego pistoletu, jaki stanowi wyposażenie każdego kosmonauty, nosił u pasa osobliwą broń, która przypominała zarówno śmiercionośny blaster używany przez policjantów z Patrolu, jak i długi nóż w wysadzanej klejnotami i przybranej frędzlami pochwie. Na pierwszy rzut oka wyglądał na barbarzyńcę, którego poskromiono i ucywilizowano.

- Jestem Kort Asaki - zsalutował dłonią i powiedział z lekkim akcentem w popularnym języku galactic basic. - Oczekuje mnie kapitan Jellico.

- Tak, sir! - odrzekł skwapliwie Dan.

Więc to jest Naczelnny Strażnik ze słynnej Khatki, bliźniaczej planety Xecho - myślał młody kosmonauta, prowadząc gościa do dowódcy „Królowej Słońca”.

Obcy wspiął się z kocią zręcznością po drabince. Po drodze do kabiny dowódcy zlustrował wnętrze statku, nie pomijając żadnego szczegółu. Na jego twarzy malował się wyraz uprzejmej ciekawości, kiedy jego przewodnik zapukał do drzwi kapitana Jellico. W odpowiedzi rozległo się rozdzierające skrzeczenie hoobata Queexa, ulubieńca kapitana. A potem, kiedy automatycznie rozsunęły się drzwi, zobaczyli, że krabo-papugo-ropuch w klatce tupnął swoją dziwną łapą w podłogę, oznajmiając, że jego pan jest obecny.

Ponieważ kapitan skierował serdeczne powitanie tylko do gościa, Dan z żalem zszedł do mesy, by spróbować przyrządzić kolację. Choć prawdę mówiąc, niewiele można było przygotować z nadpsutych koncentratów w automatycznej kuchni.

- Gość z Konsorcjum? - zapytał Tau, który czekał na kubek terrańskiej kawy z ekspresu. - Czy muzyka pomaga ci wybrać potrawy, szczególnie w tym obfitym zestawie?

Dan zarumienił się i przestał wygwizdywać melodię w pół nutki.

„Wracając na Terrę”, to stary i ograny kawałek. Dan nie zdawał sobie sprawy z tego, że nieświadomie pogwizduje znany przebój, ilekroć coś robi.

- Naczelnny Strażnik z Khatki jest na pokładzie - poinformował sucho medyka Tau, gdyż był zajęty odczytywaniem etykietek. Nie był aż tak niemądry, żeby podać rybę lub jakieś zakamuflowane przetwory z rybiego mięsa.

- Khatka! - Tau wyprostował się. - To planeta, którą warto odwiedzić.

- Nie jest warta uwagi Wolnych Kupców - stwierdził Dan.

- Możesz zawsze liczyć na hit szczęścia, który przyniesie ci fortunę, chłopie.

Ja wiele dałbym, żeby tam polecieć!

- Dlaczego? Przecież nie jesteś myśliwym. Co ci przyszło do głowy?

- Och, nie obchodzi mnie safari w rezerwacie, choć pewnie warto zobaczyć khatkańską zwierzynę. Ciekawią mnie ludzie, którzy...

- Ale to przecież osadnicy z Terry czy raczej potomkowie Terran, prawda?

- Oczywiście. - Tau powoli popijał kawę. - Jednak żyją tam osadnicy i osadnicy, synu. Interesują mnie różnice pomiędzy nimi. Wiele tutaj zależy od tego, kiedy opuścili Terrę i dlaczego, oraz kim byli, jak również od tego, co przydarzyło się ich przodkom, kiedy wylądowali na tej planecie.

- Czy sądzisz, że Khatkanie naprawdę się różnią od innych ludzi?

- Cóż, mają oni zdumiewającą historię. Pierwszą kolonię na Khatce założyli zbiegli więźniowie należący do jednej rasy. Odlecieli z Ziemi tuż przed końcem Drugiej Wojny Atomowej. To była wojna ras, pamiętasz? Co czyni ją podwójnie ohydną. - Twarz Tau wykrzywił grymas odrazy. - Zastanawiam się, co sprawia, że kolor skóry dzieli ludzi. Podczas tamtej wojny jedna z walczących stron próbowała podporządkować sobie Afrykę. Niemal całą ludność zamknięto w ogromnych obozach koncentracyjnych, gdzie dokonano ludobójstwa na ogromną skalę. Potem oprawcy podzielili się na dwa zwalczające się obozy i wzajemnie wyniszczyli. W czasie ogólnego zamętu ci, którzy przeżyli w obozie wznieśli rewoltę wspomaganą przez wroga. Buntownikom udało się zawładnąć eksperymentalną stacją ukrytą na terenie obozu i odlecieli w kosmos dwoma statkami, które tam zbudowano. Podróż musiała być koszmarem, ale zdesperowani uciekinierzy dotarli w jakiś sposób aż tutaj i wylądowali na Khatce, nie mając już wystarczającej ilości paliwa, by lecieć dalej. Wtedy większość z nich już nie żyła. Ale istoty ludzkie wszystkich ras rozmnażają się szybko. Niebawem uchodźcy odkryli, że ta odległa planeta pod względem klimatu prawie nie różni się od Afryki. Istniała zaledwie jedna szansa na tysiąc, by mogło zdarzyć się coś takiego. Więc ta garstka, która przeżyła, znalazła nadzwyczaj korzystne warunki na gościnnej planecie, dając początek nowej ludzkości. Jednakże biali inżynierowie mechanicy, których porwano, by prowadzili statek, zostali skazani na zagładę, gdyż na Khatce segregacja rasowa przybrała przeciwny kierunek. Ludzie o jasnej skórze znajdowali się na samym dnie drabiny społecznej. Ten surowy podział sprawił, że współcześni Khatkanie są naprawdę bardzo ciemni. Zbiegowie powrócili do prymitywnego życia, by przeżyć na nieznanym planecie. Znacznie później, mniej więcej dwieście lat temu, jeszcze zanim pierwszy Patrol zwiadowczy odkrył, że na Khatce żyją ludzie, zdarzyło się coś niezwykłego. Być może pierwotna rasa uległa mutacji, czy też, jak zdarza się czasem, nastąpił regres intelektualny i oprócz niezmiernie rzadkich przypadków dzieci obdarzone inteligencją rodziły się tylko w pięciu klanach rodzinnych. Nastąpił krótkotrwały okres straszliwych walk. Jednak niebawem Khatkanie zdali sobie sprawę z bezsensu wojny domowej i stworzyli oligarchię, która zastąpiła rozbitą organizację plemienną. Ogromny wysiłek i przywództwo Pięciu Rodzin sprawiło, że rozwinęła się nowa cywilizacja. Kiedy przyleciał pierwszy Patrol, Khatkanie nie byli już dzikusami. Mniej więcej siedemdziesiąt pięć lat temu Konsorcjum wykupiło prawa handlowe na Khatce.

Koonsorcjum i Pięć Rodzin zawarły traktat, na mocy którego opanowali najlepsze rynki w Galaktyce. Chyba rozumiesz, że każdy supercwaniak z wielką forszą, na wszystkich dwudziestu pięciu planetach, pragnie pochwalić się, że obłowił się na Khatce. Jeśli do tego potrafi się wykazać wypchaną głową graza czy innym myśliwskim trofeum albo nosi bransoletkę z ogona upolowanej bestii, będzie pysznił się jak paw. Wakacje na Khatce są zarówno bajeczne, jak i modne, a przede wszystkim przynoszą ogromny, naprawdę ogromny zysk nie tylko tubylcom, ale i Konsorcjum, które obsługuje linie pasażerskie dla spragnionych emocji turystów.

- Słyszałem, że na Khatce grasują również kłusownicy - zauważył Dan.

- Tak, to zwykła kolej rzeczy. Chyba wiesz, ile kosztuje na rynku wspianała skóra z Khatki. Tam, gdzie obowiązują surowe zakazy wywozu, zawsze pojawiają się kłusownicy i przemytnicy. Ale Patrol nie prowadzi działań operacyjnych na Khatce. Tubylcy wyłapują sami przestępców. Osobiście wolałbym odbyć dziewięćdziesięciodziewięcioletni wyrok w kopalniach na Księżycu niż znaleźć się choćby na jedną dobę w tym okropnym miejscu, do którego Khatkanie wtrącają schwytanych kłusowników.

- Więc pogłoski o okrutnych kazamatach na Khatce odstraszą potencjalnych kłusowników?

Gdy w drzwiach mesy ukazał się - nieoczekiwanie, jakby teleportowano go tutaj - Naczelnny Strażnik Asaki, Tau rozlał nieco kawy, a Dan upuścił z wrażenia paczuszki koncentratu mięsnego, które właśnie zamierzał wrzucić do szybkowaru.

- Czy potwierdzi pan - medyk Tau wstał gwałtownie i uśmiechnął się uprzejmie do gościa - że krążące opowieści o surowych karach za kłusownictwo są rozmyślnie wyolbrzymiane, gdyż służą jako środek odstraszący?

Uśmiech zagościł na posępnej czarnej twarzy.

- Zostałem poinformowany, że jest pan człowiekiem, który posługuje się „magią”, medykiem. Z pewnością wykazujesz bystrość umysłu dawnych czarowników, sir. Ale pogłoska, o której wspomniałeś, nie odbiega daleko od prawdy.

- Wybuch dobrego humoru minął prędko i w głosie Naczelnego Strażnika zabrzmiał znów surowy ton. - Wszystkich obcych kłusowników powita na Khatce Patrol, gdziekolwiek dopuszczają się przestępstwa.

Wszedł do mesy, a za nim kapitan Jellico. Dan opuścił dwa sprężynowe fotele. Napełniał kubki świeżo zaparzoną kawą z dozownika, gdy kapitan przedstawił go gościowi:

- Thorson, nasz asystent szefa transportu.

- Thorson. Przybysz z Khatki skinął głową na powitanie, a potem spojrział ze zdumieniem na podłogę, gdzie przeżył się Sindbad. Kot niezwykle gorliwie witał gościa, łaszcząc się do jego nóg i mruczając głośno. Naczelny Strażnik uklęknął i wyciągnął rękę w stronę trykającego noskiem zwierzątka. Kot ubódł delikatnie puszystym łebkiem ciemną dłoń, a potem dotknął jej - jakby zapraszał do zabawy - łapką ze schowanymi pazurkami.

- Terrański kot! Czy pochodzi z rodziny lwów?

- W dalekiej linii - odparł Jellico. - Trzeba by przydać mu sporo ciała, by awansować go do rodu lwów.

- Znamy tylko dawne opowieści. - Asaki westchnął niemal tęsknie, gdy kot wskoczył mu na kolana i wczepił się pazurkami w szelki. - Ale nie wierzę, że lwy odnosiły się kiedyś tak przyjaźnie do moich przodków. - Dan zamierzał przepędzić kota, ale Khatkanin wstał wraz z mruczącym głośno Sindbadem, którego przygarnął ramieniem. Srogie oblicze gościa rozjaśnił łagodny uśmiech. - Gdybyś go przywiózł na Khatkę, kapitanie, musiałbyś pozostawić go na zawsze. Mieszkańcy wewnętrznych zamków nie pozwolą temu kociakowi powrócić na statek. Ach, więc to sprawia ci przyjemność, mały lwie?

Głaskał Sindbada delikatnie po szyi, którą kot przeżył, mrucząc z rozkoszy i mrużąc ze szczęścia żółte oczy.

- Thorson! - kapitan zwrócił się do Dana. - Czy raport o przylocie statku, który zluzuje „Królową” nie zmienił się?

- Tak, sir. Nie ma żadnej nadziei, by „Rover” wylądował tutaj przed tą datą.

- Widzisz, kapitanie - Asaki usiadł, wciąż trzymając kota - wszystko nastąpiło zrządzeniem losu. Awaria „Rovera”, opóźnienie przylotu. Masz w zapasie dwa razy po dziesięć dni. Cztery dni na podróż moim planetolotem, cztery dni na przylot z powrotem, a resztę na zbadanie otuliny na Xecho. Nie mogliśmy spodziewać się bardziej sprzyjających okoliczności, a nie wiem, kiedy znów skrzyżują się nasze ścieżki. Jeśli nie nastąpi nic szczególnego, przylecę na Xecho dopiero za rok, a może jeszcze później. Również... :- Zawahał się, a potem powiedział do Tau: - Medyku, kapitan Jellico poinformował mnie, że badałeś magię na wielu planetach.

- To prawda, sir.

- Czy sądzisz zatem, że magia jest rzeczywistą siłą, czy to tylko przesąd, któremu hołdują ludzie-dzieci, zawodząc modlitwy w ciemności, by wywołać

demony?

- Magia, którą poznałem, to na ogół zwykle oszustwo, jednak pewna jej część opiera się na wewnętrznej wiedzy człowieka i wskazuje sposoby, które stosuje sprytny lekarz, by osiągnąć postęp w leczeniu choroby. - Tau odstawił kubek. - Zawsze pozostaje pewna tajemnica, której nie da się w żaden sposób logicznie wytłumaczyć...

- A ja wierzę - przerwał Asaki - że prawdą jest również to, iż przedstawiciele wybranej rasy posiadają wrodzone predyspozycje magiczne. Tak więc ludzie z niektórych rodów są szczególnie podatni na magię.

To, co oznajmił gość brzmiało raczej jak stwierdzenie niż pytanie, jednak Tau postanowił odpowiedzieć.

- Wydaje mi się, że jest to możliwe. Na przykład na planecie Lamorian tubylcy potrafią sprowadzić „śpiwem” śmierć na wybraną osobę. Sam byłem świadkiem takiego zdarzenia. Ale na Terrze czy wśród kosmicznych osadników „czary” nie wywołują żadnego efektu.

- Ludzie, którzy niegdyś przylecieli na Khatkę i zdomowali się tam, przywieźli magię z sobą. - Naczelnny Strażnik wciąż głaskał pieszczotliwie pyszczek i szyję Sindbada, ale ton jego głosu stał się nagle chłodny. Wydawało się, że lodowaty podmuch wypełnił mesę, w której nawet kostki lodu w napojach nie były tak zimne jak słowa gościa.

- Tak, mogli przenieść na Khatkę wysoce rozwiniętą formę magii - zgodził się Tau.

- Może bardziej rozwiniętą niż mógłbyś przypuszczać, medyku! - powiedział gniewnie Asaki. - Myślę, że jej niedawna manifestacja, której byłem świadkiem, śmierć *zadana przez* bestię, która nie jest prawdziwą bestią, mogłaby okazać się godna twoich dokładnych badań.

- Dlaczego? - zapytał bez ogródek Tau.

- Gdyż ta magia zabija, a wrogowie prawowitej władzy stosują ją chytrze w moim świecie, by usunąć kluczowe osoby w rządzie i ludzi, których naprawdę potrzebujemy. Jednak musi istnieć jakiś słaby punkt w tym niezrozumiałym ataku skierowanym przeciwko nam. Musimy nauczyć się skutecznie bronić i to szybko!

Jellico dopowiedział resztę:

- Zostaliśmy zaproszeni na Khatkę, by uczestniczyć w nowym myśliwskim safari jako osobiści goście Naczelnego Strażnika Asakiego.

Dan westchnął z zachwytu. Niezmiernie rzadko udzielano na Khatce prawa

gościnności, a nieliczni wybrańcy strzegli go zazdrośnie. Całe rodziny żyły tu z dochodu, jaki przynosiła roczna, a nawet półroczna dzierżawa prawa pobytu na Khatce. Jednak strażnicy leśni cieszyli się urzędowym przywilejem, który pozwalał wyjątkowo na udzielanie praw gościa kilku wybranym osobom rocznie - odwiedzającym planetę naukowcom albo przybyszom z odległych światów, mających równie wysoką pozycję we własnym społeczeństwie. Takie zaproszenie dla zwykłego kupca było prawie niewiarygodne. Zaskoczenie Dana dorównywało zdumieniu medyka i wywołało uśmiech na twarzy Naczelnego Strażnika.

- Od dłuższego czasu kapitan Jellico i ja wymieniamy dane biologiczne dotyczące obcych form życia. Jego fachowe zdjęcia czy wiedza doświadczonego ksenobiologa są powszechnie znane, również na naszej planecie; toteż uzyskałem zezwolenie na wizytę kapitana w nowym rezerwacie Zoboru, który jeszcze nie został oficjalnie otwarty. Potrzebna jest nam również pańska pomoc, medyku Tau, a raczej diagnoza. Otóż jeden specjalista podchodzi do sprawy otwarcie, drugi bardziej dyskretnie. Myślę o tym, że to pan, jako ktoś z zewnątrz, spojrzysz na nasze problemy z nowego, odmiennego punktu widzenia. Chociaż, medyku Tau, pańskie zadanie aprobują również moi przełożeni. - Gość spojrział na Dana. - Ażeby oczyścić moje intencje z wszelkich podejrzeń, może powinniśmy zapytać o zgodę tego młodego człowieka.

Dan spojrział na kapitana. Jellico był zawsze sprawiedliwy. Zwykle wystarczyło jedno słowo, by załoga natychmiast wyruszała na akcję - choćby nawet rozkazał im walczyć z deszczem śmiertelnych strzał Thorkiańczyków, co równałoby się niechybnej zgubie. Jednak z drugiej strony Dan sam nigdy nie prosiłby kogoś o przysługę, a swoje obowiązki wypełniał bez szemrania, nie zastanawiając się nad tym, jak władze oceniają jego postępowanie. Nie miał żadnego powodu, by uważać, że Jellico zgodził się na wyprawę pod przymusem.

- Dopiero za dwa tygodnie planety oddalą się od siebie, toteż, Thorson, możesz spędzić ten czas na Khatce - Jellico uśmiechnął się szeroko - jeśli zechcesz. Kiedy startujemy, sir? - zwrócił się do gościa.

- Mówił pan, kapitanie, że czeka na powrót pozostałych członków załogi, czy zatem możemy wystartować jutro po południu? - Naczelnny Strażnik z Khatki wstał i postawił Sindbada na podłodze, choć kot zamiauczał przeraźliwie na znak protestu. - Mały lwie - rosły Khatkanin zwrócił się do kota jak do równej istoty. - Tutaj jest twoja dżungla, a moja leży gdzie indziej. Ale jeśli kiedyś znuży cię wędrówka wśród

gwiazd, zawsze znajdziesz azyl w moim zamku.

Kiedy gość wyszedł, Sindbad nie próbował iść za nim, ale wydał żalosaną skargę protestu i utraty.

- Więc on szuka pogromcy demonów? - zapytał Tau. - Zgoda, spróbuję zapolować na jego gobliny! Choćby z tego powodu warto polecieć na Khatkę.

Dan, który miał już dość rozpalonej tafli portu kosmicznego na Xecho i morza, w którym nie wolno pływać pod groźbą ugotowania, przypomniał sobie hologramy pokazujące zielony raj myśliwych na sąsiedniej planecie.

- Tak, sir! - zgodził się skwapliwie, wybierając wreszcie odpowiedni koncentrat.

- Nie bądź taki lekkomyślny - studził go Tau. - Ostrzegam cię, że lepiej wsadzić głowę do paszczy lwa niż narazić się temu strażnikowi leśnemu z Khatki. Kiedy wylądujemy na Khatce, miej się na baczności. Przygotuj się na najgorsze!

II

Pioruny rozświetlały ciemności zalegające nad czarnymi, niebotycznymi górami. Poniżej, niemal w bezdennej przepaści płynęła rzeka, która wyglądała jak srebrna niteczka. Ujrzeni w dole wspaniały, zbudowany ludzkimi rękoma, górujący nad dziewiczą dżunglą i wzgórzami warowny zamek na tarasie ze skalnych płyt, zwieńczony strzelistymi wieżami i otoczony żółtobiałymi murami. Uczępiony skalnej krawędzi jak kamienne orle gniazdo, był na wpół twierdzą, na wpół posterunkiem granicznym. Kiedy fioletowy grom rozdarł z hukiem ciemne niebo, oślepiiony Dan przytrzymał się krawędzi skały. Znajdowali się niewyobrażalnie daleko od parujących wysepek Xecho.

- Demon grasz przygotowuje się do bitwy! - rzekł Asaki, spoglądając ku szczytom, gdzie przetoczył się grzmot.

- Prawdopodobnie szczerzy kły, co? - roześmiał się kapitan Jellico. - Nie chciałbym spotkać się oko w oko z tym graszem, który wywołuje tyle zamieszania, skoro tylko pokaże swoje kły.

- Nie? Lecz niech pan pomyśli, kapitanie, o tej gigantycznej nagrodzie, jaką otrzyma Tropiciele, który odkryje szkielet graza lub jakikolwiek ślad wskazujący, że demon grasz jest śmiertelną istotą. Człowiek, który odnajdzie cmentarz stada graszów, zdobędzie fortunę, o jakiej nawet nie śnił.

- Ile prawdy jest w tej legendzie? - zapytał Tau.

- Któż to wie? - Naczelnny Strażnik wzruszył ramionami. - Sądzę, że wiele. Służę w straży leśnej, odkąd pamiętam. Słuchałem rozmów Tropicieli, Myśliwych, strażników leśnych w puszczańskich obozowiskach i w zamku mojego ojca, odkąd nauczyłem się chodzić i rozumieć ich słowa. Jednak nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek wspomniał o tym, że znalazł ciało graza, który umarłby naturalną śmiercią. Trupożercy mogą z łatwością uporać się z cieleśmiem martwego graza, ale kły i kości powinny być widoczne przez całe lata, zanim obrosną mchem i skryje je spleśniała deszczem ziemia. Również sporo widziałem na własne oczy. Jednego razu ujrzałem bliskiego śmierci graza, którego podtrzymywały dwie inne bestie, ponaglając rannego towarzysza do ucieczki na wielkie moczary...

Pioruny biły w iglice szczytów. Schodzili wąską ścieżynką. Górowała nad nimi stroma, naga skała, w dole rozpościerała się wybujała dżungla, a pośrodku,

uczepiona skał jak orle gniazdo, wznosiła się smukła twierdza zbudowana przez ludzi, którzy nie znali lęku wysokości. Odkąd wylądowali na Khatce, otaczała ich dzika, nieposkromiona przyroda. Bujna planeta wabiła i odstręczała zarazem jak nieznana i tajemnicza dżungla.

- Czy Zoboru jest daleko stąd?

- Około stu mil. - Odpowiadając na pytanie kapitana Jellico, Naczelny Strażnik wskazał na północ. - To pierwszy od dziesięciu lat nowy rezerwat. Pragniemy, by stał się najwspanialszym naturalnym ogrodem, istnym rajem dla myśliwych z kamerami holograficznymi, którzy przybędą z całego kosmosu na bezkrwawe łowy. Dlatego wprowadziliśmy drużyny pogromców...

- Drużyny pogromców? - zapytał Dan. Naczelny Strażnik przygotował się wcześniej, by wyjaśnić gościom miejscowe problemy.

- Zoboru jest rezerwatem, w którym obowiązuje zakaz zabijania, terenem bezkrwawych łowów. Zwierzęta oswoją się z tym po pewnym czasie. Ale przecież nie możemy czekać przez kilka lat, aż tak się stanie. Więc robimy im prezenty... - Roześmiał się, przypominając sobie jakiś zabawny incydent. - Być może czasem pragniemy tego za bardzo. Zazwyczaj nasi goście chcą filmować wielkie bestie: grazy, grysy, mały skalne, lwy...

- Lwy? - powtórzył jak echo Dan.

- Nie terrańskie lwy, och nie! - Asaki uśmiechnął się. - Kiedy nasi przodkowie wylądowali na Khatce, spotkali tutaj olbrzymie bestie przypominające po trosze zwierzęta, które żyły w Afryce. Nadali tym nieznanym gatunkom nazwy terrańskich zwierząt. Lew khatkański jest pokryty czarnym futrem, jest waleczny i poluje na inne zwierzęta, jednak różni się od wielkich kotów żyjących niegdyś na Terrze. To przecież stanowi przedmiot westchnień wszystkich żółtodziobów pragnących uwiecznić go na amatorskich hologramach. By nie zawieść turystów, wabimy lwy dostarczając im pożywienia. Strażnik leśny strzela do wodnego szczura policzy jelenia, przytracza ścierwo upolowanego zwierzęcia na linie i ciągnie za oblatywaczem. Lew skacze za przynętą, która nie tylko się porusza, ale i wydziela kuszący zapach. W pewnej chwili strażnik przecina linę i zostawia lwu gotowy posiłek. Lwy nie są głupie. Prędko uczą się kojarzyć dźwięk przeszywającego powietrze oblatywacza z jedzeniem. Po pewnym czasie zwierzęta wydają się dostatecznie oswojone. Kiedy zbliża się oblatywacz, lwy wyskakują z gęstwiny na spodziewaną ucztę, a uszczęśliwieni turyści filmują dzikie bestie. Trzeba jednak

bardzo uważać podczas takiej tresury. Pewien strażnik leśny w rezerwacie Komog wykazał zbytnią inicjatywę. Najpierw sam ciągnął przynętę na linie. Potem, chcąc zmusić lwy, by zapomniały zupełnie o obecności człowieka, zawieszał przynętę tuż za burtą oblatywacza. Latał wolniutko nad ziemią ośmielając zwierzęta, by skakały po jedzenie. Strażnikowi leśnemu ta metoda wydawała się wystarczająco bezpieczna. Jednak przyniosła fatalne skutki. Po miesiącu od zakończenia tresury inny myśliwy eskortował bogatego klienta w rezerwacie Komog. Pilot obniżył lot, by turysta mógł sfilmować szczura wodnego, który wynurzył się z rzeki. Wtem zawarczało coś za nimi, zakotłowało się i znaleźli się w towarzystwie ogromnej lwicy rozwścieczonej tym, że na pokładzie nie ma mięsa, które spodziewała się tu znaleźć. Na szczęście obaj nosili skafandry ochronne, toteż rozsierdzona bestia nie zdołała ich rozerwać na strzępy. Musieli szybko wylądować i opuścić w popłochu oblatywacz, a potem poczekać w bezpiecznym miejscu, aż lwica odejdzie. Rozwścieczone zwierzę poważnie uszkodziło oblatywacz. Obecnie nasi strażnicy nie stosują już wymyślnych sztuczek podczas tresury. Jutro, nie - poprawił się - pojutrze, pokażę wam, jak przebiega proces osvajania dzikiej zwierzyny.

- A jutro? - zapytał kapitan.

- Jutro moi ludzie urządzą magiczne polowanie - odpowiedział bezbarwnym tonem.

- Czy pański szef jest czarownikiem? - indagował Tau.

- Lumbrilo. - Naczelny Strażnik nie był skłonny, by powiedzieć więcej, ale medyka zainteresował wyraźnie ten temat.

- Czy urząd Naczelnego Czarownika jest dziedziczny?

- Tak. Czy to nie wszystko jedno? - Pierwszy raz wyczuli w jego głosie ton pożądania.

- Możliwe, że ma to ogromne znaczenie - odparł Tau. - Piastując dziedziczny urząd, można osiągnąć dwie korzyści. Pierwsza, to wpływ człowieka, który go obejmuje, na wszystkie dziedziny życia, druga to publiczne uwielbienie, miłość ludu, którą nie pogardzi żaden próżny władca. Lumbrilo mógłby uwierzyć we własną potęgę i sięgnąć po całą władzę na Khatce, jeśli dotąd tego nie uczynił. To prawie pewne, że twoi ludzie uważają go bez wątpienia za cudotwórcę.

- Taki właśnie jest. - Jeszcze raz głos Asakiego zabarwiło żywsze uczucie.

- Lumbrilo nie akceptuje tego, co twoim zdaniem jest konieczne.

- Po raz kolejny masz rację, medyku. Lumbrilo nie akceptuje miejsca, które

nasza tradycja wyznaczyła mu w hierarchii społecznej.

- Czy Naczelny Czarownik jest członkiem jednej z Pięciu Rodzin?

- Nie, jego ród nie jest liczny. Zresztą zawsze trzymał się na uboczu. Z dawien dawna panuje na Khatce tradycja, że wybrańcy, którzy rozmawiają z Bogiem i demonami nie rozkazują ludziom!

- Rozdział państwa i Kościoła - skomentował Tau w zadumie. - Choć zdarzało się nieraz w historii Terran, że władza należała do Kościoła. Czy Lumbrilo pragnie władzy?

Asaki spojrział na górskie szczyty na północy, gdzie znajdował się rezerwat Zoboru - jego ukochane dzieło.

- Nie wiem, czego naprawdę chce Lumbrilo, poza tym, że sieje niezgodę, a może coś gorszego! Oto, co wam powiem: magia polowania stanowi część naszego życia, wywołując wiele tajemniczych zdarzeń, których nie sposób racjonalnie wyjaśnić. Sam posługiwałem się nieraz siłą, której nie potrafię zrozumieć ani wytłumaczyć. W dżungli i na stepie nie uzbrojeni przybysze z innych planet muszą założyć specjalny skafander ochronny, który chroni przed niebezpiecznym atakiem. Lecz ja i moi podwładni możemy wyjść cało z najgorszej opresji, jeśli tylko przestrzegamy zasad naszej magii. Jednak Lumbrilo stosuje magię, której nie znali jego przodkowie. I przechwala się, że potrafi jeszcze więcej, toteż ma coraz większy wpływ na tych Khatkan, którzy wierzą, jak również na tych, którzy się go boją.

- Chciałbyś, ażebym stawił mu czoło, sir?

- Chcę, ażebyś sprawdził, czy kryje się w tym jakiś podstęp. Z oszustwem mogę walczyć, gdyż mamy broń przeciwko temu. Ale jeśli Lumbrilo kontroluje moce, których nie znamy, będę musiał zawrzeć z nim niełatwy pokój albo przegramy z kretesem. Nie zapominaj o tym, kosmiczny obieżyświacie, że wywodzę się z rodu wojowników i nie przełknę łatwo porażki! - Naczelny Strażnik ścisnął z całej siły występ skalny, jakby pragnął skruszyć lity kamień.

- W to również wierzę - odparł cicho Tau. - Jednak muszę cię prosić o jedno, sir. Jeśli odkryję, że magia tego człowieka opiera się na oszukańczym podstępie, będziesz musiał zachować to w sekrecie. To mój warunek.

- Ufam, że tak będzie.

Podświadomie magia kojarzyła się Danowi z ciemnością i nocą, ale następnego dnia rano zmienił zdanie, uczestnicząc w tajemniczym obrzędzie na większym, obmurowanym tarasie, gdzie zgromadzili się myśliwi, tropiciele, strażnicy

leśni i pozostali podwładni Naczelnego Strażnika. Mimo wczesnej godziny słońce stało już wysoko, prażąc niemiłosiernie. Goście usłyszeli niski, rytmiczny odgłos, który tętnił w czystym powietrzu, pobudzając krew w żyłach zgromadzonych mężczyzn do szybszego krążenia. Dan odkrył źródło dźwięku - cztery ogromne bębny, na których wybijali rytm koniuszkami palców czterej bębniści. Mężczyźni nosili naszyjniki z pazurów i kłów, spódniczki z wystrzępionej skóry na błyszczących szelkach obszywanych futrem. Ich barbarzyńskie stroje kontrastowały z nowoczesną bronią ręczną, którą nosili u pasa.

Przygotowano jeden fotel dla Naczelnego Strażnika, drugi dla kapitana Jellico. Dan i Tau usadowili się na mniej wygodnych siedzeniach, czyli na stopniach tarasu. Bębniści zaczęli mocniej uderzać w bębny i ciche buczenie przypominające brzęczenie pszczoł w ulu urosło teraz do odgłosu burzy, która nadciągała od strony gór. Jakiś ptak odezwał się gdzieś w podziemnych komnatach zamkowych, gdzie przebywały kobiety.

Da - da - da - da... - podniosły się głosy, wtórując narastającemu dudnieniu mężczyzn. Przykucnięci mężczyźni kołysali miarowo głowami. Kiedy Tau pochwycił kurczowo rękę Dana, młody astronauta spojrzał z przestachem na medyka, którego oczy jarzyły się, kiedy obserwował czujnie zgromadzenie jak Sindbad wypatrujący zdobyczy.

- Oblicz przestrzeń ładunku w komorze numer 1! - nakazał mu szeptem Tau.

Dan obruszył się słysząc ten zdumiewający rozkaz.

- Ładownia nr 1? Dzieliła się na trzy mniejsze komory, a rozmieszczenie ładunku... - Dan uświadomił sobie nagle, że na moment wymknął się z magicznej sieci utkanej z rytmu bębnów, monotonnego buczenia głosów, kołysania głów. Zwilżył spierzchnięte wargi. A więc tak to działało! Słyszał nieraz, jak medyk Tau opowiadał o autohipnozie, której człowiek ulega w specyficznych warunkach, lecz po raz pierwszy uświadomił sobie, co to naprawdę znaczy.

Nagle pojawiło się na tarasie dwóch prawie nagich mężczyzn o czarnej skórze, odzianych tylko w wystrzępione spódniczki sięgające do łydek, z przypiętymi czarnymi ogonami z białym puszystym koniuszkiem, które kołysały się jednostajnie, kiedy tancerze przytupywali rytmicznie bosymi stopami. Zamiast zwykłych masek obrzędowych nosili niby rycerskie przyłbice pięknie zakonserwowane zwierzęce głowy z na wpół otwartymi paszczami z podwójnym rzędem szablanych kłów. Czarno-białe pręgi na futrze i ostro postawione ni to psie, ni kocie uszy wskazywały

na niesamowite połączenie cech obu tych gatunków. Dan wymamrotał pośpiesznie dwie kupieckie formuły, które znał na pamięć, i próbował myśleć intensywnie o wzajemnej relacji kamiennych monet z Samantiny i galaktycznych kredytów, przypominając sobie ostatnie notowania. Jednak właśnie wtedy ten sposób obrony zawiódł. Oto spomiędzy sylwetek szurających bosymi stopami tancerzy śmignęło nagle jakieś stworzenie, które opadło na cztery łapy. Tancerze udawali tylko drapieżniki, nakładając wyprawione zwierzęce głowy, ale wyczarowane stworzenie wydawało się żywe, posiadało giętkie kończyny, gibkie ciało mierzące osiem stóp długości, spiczaste uszy i czerwone oczy, które były oczami pewnego swej siły zabójcy. Dziwaczne zwierzę przechadzało się po tarasie leniwie, bez skrępowania, machając gniewnie czarnym ogonem z białym koniuszkiem. Kiedy znalazło się pośrodku tarasu, rzuciło się nagle z uniesioną głową w przód, jakby zamierzało stoczyć walkę. Z jego wyszczerzonej paszczy pełnej zakrzywionych kłów wydarły się słowa, których Dan nie mógł zrozumieć, ale które miały niewątpliwie znaczenie dla mężczyzn kołyszących się rytmicznie w hipnotycznym transie. *Da - da - da - da...*

- Wspaniale! - powiedział Tau w szczerym zachwycie, uderzając się lekko pięściami w kolana. Jego oczy wydawały się równie dzikie jak oczy mówiącej bestii w czasie skoku.

Zwierzę również tańczyło, a jego zakończone pazurami łapy naśladowały kroki zamaskowanych tancerzy.

To musi być człowiek przebrany w zwierzęcą skórę - próbował wmówić sobie Dan, ale sam w to nie mógł uwierzyć. Iluzja była zbyt doskonała. Sięgnął do pasa, by wyjąć nóż z pochwy. Zgodnie z miejscowym zwyczajem zostawili swoje ogłuszacze w zamku, ale zezwolono im zatrzymać noże. Teraz Dan wysunął nóż z pochwy, i zadrasnął się boleśnie w dłoń. Tak kiedyś radził mu postąpić Tau, odpowiadając na pytanie, co zrobić, by wyzwolić się spod działania magii. Pręgowane czarno-białe stworzenie tańczyło dalej i nic nie wskazywało na to, by w jego gibkim ciele mogła się ukryć jakaś ludzka istota.

Dziwne zwierzę zaśpiewało nagle przeszywającym głosem. W tej samej chwili Dan zauważył, że przykucnięci mężczyźni znajdujący się najbliżej foteli, na których siedzieli Asaki i kapitan Jellico, wpatrują się uporczywie, niemal groźnie, w Naczelnego Strażnika i dowódcę statku kosmicznego. Wyczuł napięcie Tau, który stał przed nim.

- Zaczynają się kłopoty... - ledwie dosłyszał prawie bezgłośnie ostrzeżenie

medyka.

Siłą woli oderwał wzrok od tańczącego koto-psa i zaczął obserwować pieśniarzy, którzy ukradkiem spoglądali na gospodarza i jego gościa. Terranin wiedział, że pomiędzy Naczelnym Strażnikiem a jego podwładnym panowały feudalne stosunki. Lecz zrozumiał, że właśnie toczy się rozgrywka pomiędzy Asakim i Lumbrilo. Nie był pewien, po czyjej stronie opowiedzą się ci ludzie. Zauważył, że kapitan Jellico zsunął rękę z kolana i sięgnął do rękojeści noża. Naczelnny Strażnik, który dotąd trzymał ręce swobodnie opuszczone, zacisnął pięści.

- Teraz! - Tau niemal zasyczał.

Odbił się stopami od ziemi i śmignął błyskawicznie pomiędzy fotelami, by stawić czoło tańczącemu koto-psu. Jednak nawet nie spojrzął na dziwne stworzenie i jego zamaskowanych towarzyszy. Zamiast zaatakować zwierzę, wymachiwał ramionami tak wysoko, jakby odparowywał niewidoczne ciosy - lub może pozdrowiał kogoś na zboczu góry wołając:

- Hodi, eldama! Hodi!

Wszyscy zgromadzeni na tarasie odwrócili się jak jeden mąż, patrząc na zbocze góry.

Dan był gotów do walki. Trzymał w ręku nóż, jakby to był miecz. Jednak jakież mógł zrobić użytek z tej drobnej broni przeciwko olbrzystemu cielsku, które schodziło majestatycznie z gór. Nawet nie próbował o tym myśleć.

Potwór wyglądał przerażająco. Pomiedzy wielkimi kłami bestii skręcała się długa, ciemnoszara trąba, rozpostarte uszy zdawały się łopotać z gniewu, a olbrzymie stopy miażdżyły, krusząc w pył, wulkaniczną skałę. Tau bił pokłony wznosząc ręce, najwyraźniej w pozdrowieniu. Olbrzymie cielsko uniosło się ku niebu, jak gdyby pozdrowiało człowieka, którego mogło zmiażdżyć jedną stopą.

- Hodi, eldama!

Po raz drugi Tau pozdrowił monstrualnego słońa i straszliwe cielsko znów podniosło się na tylne nogi, odwzajemniając pozdrowienie - pozdrowienie jednego władcy ziemi dla drugiego, którego uznało za równego sobie.

Być może przed tysiącami lat człowiek i słoń pozdrawiali się tak samo, ale potem rozpoczęła się między nimi walka na śmierć i życie. Teraz znów zapanował pokój i niezwykła moc płynęła od jednego pana ziemi do drugiego. Ta więź wydawała się niemal cielesna. Dan uzmysłowił sobie to, że ludzie na tarasie cofają się w lęku przed potęgą niewidzialnej więzi pomiędzy człowiekiem a słońem, którego

najwyraźniej przywołał. Potem Tau zaklaskał nagle w ręce, a zgromadzeni na tarasie mężczyźni wstrzymali oddech z podziwem. Tam gdzie przed chwilą stał olbrzymi samiec, nie było nic oprócz skał połyskujących w słońcu. Kiedy Tau odwrócił się, by stawić czoło koto-psu, dziwne stworzenie zdematerializowało się, a przed medykiem płaszczył się mały, chuder-lawy człowieczek, który wyszczerzył zęby, warcząc ze strachu i nienawiści. Towarzyszyli mu dwaj kapłani, którzy pozostawili w spokoju kosmonautę i czarownika.

- Wspaniała jest magia Lumbrilo - rzekł Tau. - Oddaję cześć wielkiemu Lumbrilo z Khatki. - Zasalutował otwartą dłonią na znak pokoju.

Warczenie ucichło, gdy człowieczek zapanował nad swoją twarzą. Choć był nagi, jego niepozorna postać odznaczała się wrodzoną godnością. Biła odeń siła, moc i duma, przed którą musiał ustąpić nawet bardziej imponujący fizycznie Naczelny Strażnik.

- Również ty świetnie władasz magią, obieżyświacie - odparł Lumbrilo. - Gdzie przebywa teraz twój długozęby cień?

- Tam, gdzie niegdyś stąpali twoi przodkowie. Byli to ludzie twojej krwi, którzy dawno, dawno temu polowali na mój cień i uczynili zeń swoją zdobycz.

- Zatem przybyłeś tu, by wyrównać dług krwi pomiędzy nami, obieżyświacie?

- To twoje słowa, potężny magu. Pokazałeś nam jedną bestię, a ja ukazałem drugą. Kto może rozsądzić, która z nich jest silniejsza, gdy wyzwolą moc ze swych cieni?

Gdy Lumbrilo podszedł ku medykwowi, kroki jego bosych stóp były ledwie słyszalne na kamiennym tarasie. Tau był w zasięgu jego ręki.

- Wyzwałeś mnie, obieżyświacie...

Co to było? Pytanie, czy raczej stwierdzenie - zastanawiał się Dan.

- Dlaczego miałbym walczyć z tobą? Każda rasa posługuje się własną magią. Nie przybyłem tutaj, by wyzwąć cię do walki.

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Wyzwałeś mnie! - Lumbrilo odwrócił się, a potem spojrział przez ramię. - Siła, którą władasz, może okazać się bezużytecznym narzędziem, obieżyświacie! Przypomnisz sobie moje słowa, kiedy cienie zmaterializują się i urzeczywistni się najmniejszy z wszystkich cieni.

III

- Jesteś naprawdę magiem!

Tau potrząsnął przecząco głową w odpowiedzi na podziw Asakiego.

- Niezupełnie, sir. Lumbrilo jest prawdziwym magiem. Ja sam tylko pożyczyłem odeń trochę jego mocy, a o rezultacie przekonaliście się na własne oczy.

- Nie zaprzeczaj! To, co widzieliśmy, nie mogło pochodzić z tego świata.

Tau mozolił się z paskiem torby myśliwskiej przewieszanej przez ramię.

- Sir, niegdyś ludzie twojej krwi, ludzie, którzy dali początek waszej rasie, polowali na słońce. Zamykali kły w skarbcu, a z mięsa słońca przyrządzali wspaniałą ucztę, ale zdarzało się również, że ginęli stratowani, jeśli nie mieli szczęścia lub byli nieostrożni. Właśnie dlatego gdzieś w waszej podświadomości przetrwało wspomnienie o *eldama*, słońcu, z czasów, gdy był królem stada i nie musiał bać się niczego z wyjątkiem włóczni i sprytu małych słabych ludzi. Teraz wystarczyło przebudzić w was wspomnienia o *eldama*. Lumbrilo przebudził już w waszym umysłach odwieczną pamięć i zmienia postrzeganie zgodnie ze swoją wolą.

- W jaki sposób? - zapytał wprost obcy. - Czy to sprawia magia, że widzimy lwa zamiast Lumbrilo?

- On przywołuje swoje czary za pomocą bębnów, śpiewu, działając sugestią na wasze umysły. Kiedy snuje magiczną sieć, rzucając urok, nie może ograniczyć go do obrazu, który sugeruje, gdyż odwieczna pamięć rasy wskrzesza także inny obraz. Ja sam, Naczelnny Strażnik, posługuję się tylko narzędziami Lumbrilo, by uprzytomnić ci, że istnieje także inny wymiar, którzy twoi przodkowie znali równie dobrze jak on.

- I w ten sposób zrobiłeś sobie wroga... - Asaki zatrzymał się przed półką z najbardziej nowoczesną bronią. Wybrał miotacz ze srebrną lufą w oprawie dopasowanej do ramienia. - Lumbrilo nigdy tego nie zapomni!

Tau parsknął śmiechem.

- To prawda, ale czyż nie uczyniłem tego, czego sobie życzyłeś, sir? Wszak skupiłem na sobie wrogość niebezpiecznego człowieka. Żywisz przecież nadzieję, że będę zmuszony, we własnej obronie, usunąć go z twojej drogi, panie.

Khatkanin obrócił się wolno, dopasowując broń do ramienia.

- Wcale temu nie zaprzeczam, obieżyświacie!

- Oznacza to, że sprawa jest rzeczywiście poważna.

- Rzekłbym, bardzo poważna - przerwał Asaki, zwracając się nie tylko do medyka Tau, ale i do pozostałych astronautów. - Wiem, że to, co dzieje się teraz na mojej planecie, może oznaczać koniec Khatki. Walka z Lumbrilo stanowi najbardziej niebezpieczną rozgrywkę, jaką podejmuję w całym swym życiu, choć będąc myśliwym stawałem nieraz oko w oko ze śmiercią. Oto nadchodzi Wielki Słoń, Eldama i albo zdobędziemy jego kły, albo wszystko, co jest mi drogie, wszystko, co zbudowałem dzięki swej pracy, zostanie zniszczone. W obronie mojej Khatki użyję wszelkiej dostępnej broni.

- Teraz ja jestem twoją bronią, która, przynajmniej taką masz nadzieję, okaże się równie skuteczna jak ten miotacz, który przytroczyłeś do ramienia. - Tau roześmiał się znów bez wielkiego entuzjazmu. - Spróbuję udowodnić, że nie pomyliłeś się co do mojej osoby.

Jellico wyłonił się z półmroku. Dopiero świtało i wciąż jeszcze szarość odchodzącej nocy zalegała w zakamarkach zbrojowni. Zastanawiał się przez chwilę i wybrał ze stelaża z bronią ręczny blaster z krótką lufą. Ściskając w rękę kolbę miotacza, spojrzął jakby z wyrzutem na gospodarza.

- Przybyliśmy w gościnę, Asaki. Jedliśmy chleb i sól pod tym dachem.

- Na ciało i krew moją, tak było - potwierdził nieugięcie Khatkanin. - Niechaj pochłoną mnie ciemności Sabry, jeśli płomień śmierci zwróci się przeciwko wam. Wyjął nóż z pochwy i wręczył go Jellico. - Niechaj moje ciało będzie jako mur pomiędzy tobą a ciemnością, kapitanie. Lecz zrozum także i to, że walka o ocalenie Khatki znaczy dla mnie więcej niż życie jakiegokolwiek człowieka. Lumbrilo i zło, które reprezentuje, musi zostać wykorzenione. Moje zaproszenie nie kryło podstępów.

Stali oko w oko, równi sobie, obdarzeni autorytetem, mądrością, wiedzą, które czyniły ich obu mistrzami w swej dziedzinie.

Potem Jellico uniósł rękę i dotknął rękojęści noża koniuszkiem palców, dopełniając przyrzeczenia:

- Nie posłużyłeś się podstępem - przyznał. - Wiedziałem od samego początku, że na pokład „Królowej” przywiodła cię konieczność.

Z chwilą gdy kapitan i Tau zawarli pakt z Naczelnym Strażnikiem, Dan, który niezupełnie rozumiał powagę sytuacji, gotów był poddać się ich rozkazom. Lecz teraz nie mieli nic innego w planie, jak odwiedzić rezerwat Zoboru.

Weszli na pokład oblatywacza w piątkę - Naczelny Strażnik Asaki, jeden z myśliwych pilotów i trzech przybysze z „Królowej Słońca” - kapitan Jellico, Tau i Dan.

Wzniesli się nad górskim grzbietem, który ciągnął się setkami mil za twierdzą Naczelnego Strażnika i z pełną szybkością polecieł na północ, pozostawiając rozplamioną kulę słońca na wschodzie. Kraina, nad którą przelatywali, była surowa - niebotyczne turnie, iglice, skały i przepaści; głębokie, purpurowe cienie oznaczające żyły szczelin. Jednak prędko pozostawili za sobą góry i niebawem mknęli nad morzem zieleni, która miała wiele odcieni - niekiedy przechodziła w żółć, błękit, a nawet czerwień. Ta różnobarwna zieleń przecinała soczystozielony kobierzec, który tworzyły korony drzew. Minęli jeszcze jeden łańcuch górski i znaleźli się nad otwartą równiną, którą porastały wysokie, wybujałe na podmokłym gruncie trawy - pozołkłe już od słońca. W dole wiła się kręta rzeka, bystra i nieokiełznana. Pełna zakoli i meandrów zdawała się nieraz zawracać i płynąć wstecz. Potem przelatywali znów nad bezludną, spustoszoną krainą, którą zniszczył niegdyś wybuch wulkanu. Z pokładu oblatywacza, poszarpany zębem erozji krajobraz pełen rumowisk skalnych i odkrywek, przypominał groteskowy koszmar senny. Asaki wskazał na wschód. Ujrzeni tam ciemną plamę rozszerzającą się niczym olbrzymi klin.

- To moczary Mygra. Nie zostały jeszcze zbadane.

- Mógłby pan sporządzić mapę z lotu ptaka... - zaczął Tau.

Naczelny Strażnik nasrożył się.

- Już cztery oblatywacze przepadły bez wieści. Raporty mówią, że wszystkie rozbiły się, gdy przeleciały ten ostatni łańcuch górski na wschodzie. Sądzymy, że na tym obszarze występuje nienaturalna siła, której jeszcze nie potrafimy zrozumieć. Mygra jest miejscem śmierci; niebawem będziemy przelatywać nad jej obrzeżami, a wówczas przekonacie się o tym.

Nagle zaczął rozmawiać z pilotem w miejscowym narzeczu i w tejże samej chwili oblatywacz wzbił się niemal pionowo, by przelecieć nad szczytami, za którymi ujrzeni wreszcie otwartą równinę pokrytą wielkimi połaciami lasów. Kapitan Jellico skinął z aprobatą.

- Zoboru?

- Zoboru - potwierdził Asaki. - Powinniśmy polecieć na północny kraniec rezerwatu. Chciałbym wam pokazać grzędowiska fastali. To ich sezon gniazdowania. Ten widok zapamiętajcie na długo! Musimy jednak zboczyć nieco w kierunku wschodnim, gdyż chciałbym po drodze skontrolować dwa posterunki straży leśnej.

Gdy odlecieli z drugiej strażnicy, skręcili jeszcze bardziej na wschód. Oblatywacz wzbił się znów w górę, by przelecieć nad łańcuchem górskim, gdzie

ujrzeli jeden ze świeżo odkrytych cudów natury, o którym wspomniał personel ostatniego posterunku - jezioro w kraterze wulkanu.

Oblatywacz zniżył lot i sunął nad samą powierzchnią wody, która miała nieskazitelną szmaragdową barwę i wypełniała krater, tworząc głęboką nieckę wśród stromych, skalnych ścian. Jednak nie udało się im wypatrzeć plaży u podnóża tych urwistych skał, na której mogliby wylądować. Kiedy znaleźli się tuż przy najwyższej ścianie, nawet Dan poczuł ciarki i ogarnął go niepokój, choć sam nieraz pilotował oblatywacz podczas postoju „Królowej Słońca” na różnych planetach. Odkąd wystartowali tego słonecznego ranka, nieświadomie płynął w przestrzeni z tutejszym pilotem, przewidując każdą zmianę czy korektę lotu. Teraz instynkt podpowiedział pilotowi, że dzieje się coś niedobrego i trzeba wyregulować zasilanie. Wzbili się gwałtownie, unikając w ostatniej chwili rozbicia o ścianę skalną. Ale maszyna nie reagowała prawidłowo. Dan nie musiał obserwować pilota, który szybko przesunął ręce po tablicy rozdzielczej, by zorientować się, że znaleźli się w tarapatkach. Jego niepokój wzmógł się, gdy oblatywacz zaczął znów opadać dziobem w dół. Kapitan Jellico poruszył się niespokojnie. Dan zrozumiał, że jego dowódca również obawia się, że maszyna rozbije się. Pilot przesunął gwałtownie regulator mocy na tablicy rozdzielczej do samej góry. Ale dziób oblatywacza wciąż przechylał się w dół, jakby był nadmiernie obciążony albo przyciągał go niewidoczny magnes w skałach. Mimo że pilot dał z siebie wszystko, nie zdołał utrzymać wysokości. Coś ściągało maszynę ku ziemi. Khatkanin mógł jedynie opóźnić nieuchronną katastrofę. Obrócił maszynę, by uniknąć niebezpieczeństw czyhających w dole, gdyż długie ramię z moczarów Mygra sięgało aż do podnóża tej góry. Naczelny Strażnik mówił coś do mikrofonu interkomu, podczas gdy pilot kontynuował walkę z przyciąganiem. Obniżyli lot tak bardzo, że znaleźli się pod kraterem wulkanicznym, który wypełniło niezwykle jezioro. Asaki cicho zaklął, popukał w mikrofon i mówił coś dalej podniesionym głosem do interkomu. Chyba nie uzyskał połączenia, co wydało się Danowi zastanawiające. *Zaczai* się obawiać, że nie uda się im przelecieć nad górą, która zagradzała drogę do rezerwatu. Potem Naczelny Strażnik omiół pasażerów szybkim spojrzeniem i wydał rozkaz:

- Zapiąć pasy!

Goście z Terry już zapięli szerokie pajęczne pasy, które miały uchronić ich od spodziewanego wstrząsu, gdy oblatywacz uderzy w ziemię. Dan spostrzegł, że pilot naciska guzik uwalniający poduszki amortyzujące upadek maszyny. Mimo że serce

waliło mu jak młot, Dan podziwiał doświadczenie obcego pilota, który skierował tracący wysokość oblatywacz na względnie równą płaszczyznę piasku i żwiru.

Skulił głowę w momencie twardego lądowania. Podniósł się teraz i rozejrzał. Naczelnny Strażnik próbował ocucić pilota, który opadł bez sił na tablicę rozdzielczą. Kapitan Jellico i Tau rozpinali już sprzączki pasów bezpieczeństwa. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na dziób oblatywacza, by Dan zrozumiał, że maszyna nie wzbije się w powietrze bez poważnej naprawy. Dziób był całkowicie strzaskany. A przecież pilot wylądował po mistrzowsku, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu.

Dziesięć minut później, kiedy pilot odzyskał przytomność i obandażowano mu ranę na głowie, odbyli naradę wojenną.

- Interkom również nie działał. Nie miałem najmniejszej szansy, by powiadomić bazę o niechybnej katastrofie - Asaki jasno określił sytuację, w której się znajdowali. - A tereny, które badamy, nie są jeszcze zaznaczone na mapie. Poza tym cieszą się złą sławą ze względu na przepastne moczary.

Jellico ocenił góry na zachodzie zrezygnowanym wzrokiem.

- Wszystko wskazuje na to, że będziemy zmuszeni podjąć ryzykowną wspinaczkę.

- Nie tędy - poprawił go Naczelnny Strażnik. - W żadnym razie nie zdołamy przejść na własnych nogach terenów otaczających jezioro w kraterze wulkanu. Musimy powędrować na południe wzdłuż gór, aż nie odkryjemy dostępnej drogi prowadzącej do rezerwatu.

- Wydaje mi się, że jest pan zbyt pewny, że nikt nas tutaj nie odnajdzie - zauważył Tau. - Dlaczego?

- Gdyż jestem przekonany, że każdy oblatywacz, który znajdzie się nad tym obszarem, rozbije się tak samo jak nasza nieszczęsna maszyna. Nie udało się nam również przekazać żadnych danych, by ratownicy mogli nas zlokalizować. Wreszcie, upłynie co najmniej jeden dzień, a może więcej, zanim moi ludzie zaczną uważać nas za zaginionych. Potem będą przeczesywać ogromną północną część rezerwatu. Zresztą nie ma tutaj zbyt wielu ludzi. Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele powodów, medyku.

- Jedną z przyczyn może być sabotaż? - przypuścił Jellico.

Asaki wzruszył ramionami.

- Możliwe. Wiem, że nie wszędzie mnie kochają. Ale też może akurat tutaj, nie tak znów daleko od moczarów Mygra, coś fatalnie działa na oblatywacze.

Myśleliśmy, że okolice jeziora w kraterze są bezpieczne, wolne od wpływu śmiertelnych bagien, ale, być może, pomyliliśmy się.

Jednak sam zmieniłeś trasę podróży - pomyślał Dan, choć nie powiedział tego głośno. Czy to jeszcze jedna próba wplątania ich w prywatne kłopoty Naczelnego Strażnika? - zastanawiał się. Chociaż ukartowana z góry katastrofa oblatywacza wydała mu się nazbyt drastycznym posunięciem w grze, jaką prowadził Asaki. W ten sposób zostali jednak zmuszeni do pieszej wędrówki przez góry.

Asaki przystąpił do wyładunku awaryjnych zapasów z rozbitego oblatywacza. Przydzielił każdemu torbę podróżną z prowiantem. Jednak gdy słaniający się na nogach pilot wyciągnął zasilane skafandry ochronne, a Jellico zamierzał rozdać je ludziom, Naczelnny Strażnik potrząsnął głową, polecając zostawić.

- Góry zasłaniają słońce, toteż obawiam się, że zasilacze nie naładują się i skafandry nie podziałają długo.

Jellico rzucił jeden ze skafandrów na dziób oblatywacza i nacisnął guzik końcem lufy ogłuszacza. Potem rzucił kamieniem w wiszący skafander. Gdy kamień strącił na ziemię skafander, zrozumieli, że siłą pola magnetycznego, która powinna odparować uderzenie, nie zadziałała.

- No tak, pięknie! - Tau otworzył swoją torbę podróżną, by zapakować koncentraty. Potem uśmiechnął się krzywo. - Nie mamy uprawnień do zabijania zwierząt. Czy zapłacisz za nas grzywnę, jeśli zostaniemy zmuszeni do zastrzelenia w obronie własnej jakiegoś zwierzęcia?

Ku zdumieniu Dana Naczelnny Strażnik roześmiał się.

- Nie przebywamy na obszarze rezerwatu, medyku. Prawa myśliwskie nie obejmują dzikich terenów. Ale chciałbym zasugerować, byśmy wspólnie poszukali jaskini, zanim zapadnie zmrok.

- Z powodu lwów? - zapytał Jellico.

Danowi, który wciąż nie mógł zapomnieć przegowanej biało-czarnej bestii wywołanej z ciemności przez Lumb-rilo, nie spodobała się ta myśl. Co prawda byli nieźle uzbrojeni - omiół spojrzeniem mężczyzn sprawdzających broń. Mieli iglicznik, który niósł Asaki, i drugi, który przewiesił przez ramię pilot. Kapitan i medyk byli uzbrojeni w blastery, miotacze i ogłuszacze. Obaj rozważali, czy posłużyć się ręczną bronią w razie ataku bestii. Ale przecież byli i tak wystarczająco uzbrojeni, by osłabić zapal lwa do pościgu.

- Lwy, grazy, małpy skalne... - Asaki zawiązał torbę podróżną. - Wszystkie są

drapieżcami lub zabójcami. Grazy grasują stadami, ale najpierw wysyłają zwiadowcę na rekonesans. A są tak ogromne i groźne, że nie posiadają wrogów. Lwy za to są inteligentne i przebiegłe, a małpy skalne są niebezpieczne z innego powodu. Na szczęście nie potrafią zachować ciszy. Kiedy zwierzrą zdobycz, zawsze ostrzegają ofiarę o swoim ataku.

Gdy wspinali się po zboczu, na którym rozbił się oblatywacz, uświadomili sobie, że Asaki miał rację uważając, że zamiast czekać na niepewny ratunek, powinni spróbować sami wydostać się z opresji. Nie wspominając już o obawie, że oblatywacz ratunkowy rozbije się również w tej niebezpiecznej strefie, przekonali się naocznie - gdy wspięli się wyżej - że ich własny wrak nie zostawił na ziemi żadnego śladu widocznego z powietrza. Im wyżej byli, tym mniej różnił się od otaczających go głazów.

Dan włókł się nieco z tyłu, a kiedy przyspieszył, by dogonić grupę, zobaczył, że Jellico obserwuje przez lornetkę odległe moczary Mygra. Dogonił kapitana, który opuścił lornetkę i powiedział:

- Wyjmij nóż, Thorson i przyłóż go do tych skał! - Wskazał okrągły czarny pagórek niedaleko od ścieżki.

Dan wyciągnął posłusznie nóż z pochwy. Wtem - ku jego zdumieniu - jakaś potworna siła wyrwała mu nóż z ręki i stalowe ostrze uderzyło prosto w skałę.

- Skały są magnetyczne!

- Tak. To wyjaśnia katastrofę. Jak również i to! - Jellico wyjął kompas i zademonstrował, że jego igła zupełnie oszalała.

- Zatem musimy kierować się według położenia tego łańcucha górskiego - rzekł Dan z udawaną pewnością.

- Chyba tak. Ale może się okazać, że wpadliśmy w tarapaty, gdy skierujemy się przez omyłkę za zachód - Jellico opuścił lornetkę zawieszoną na szyi. - Jeśli ktoś spowodował celowo awarię naszego oblatywacza - zacisnął usta i wysunął szczękę, a na jego twarzy wykwitł dobrze znany rumieniec gniewu - będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań, i to prędko!

- Czyżby Naczelny Strażnik, sir?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem - odburknął kapitan w odpowiedzi, poprawił ekwipunek i ruszył dalej.

Choć wcześniej opuściło ich szczęście, teraz znów uśmiechnęło się do nich. Asaki odkrył przed zachodem słońca jaskinię usytuowaną w pobliżu potoku. Naczelny

Strażnik zwietrzył wyczulonymi nozdrzami jakiś zapach i zatrzymał się gwałtownie przed ciemnym wejściem do jaskini. Idący przed nim myśliwy-pilot zostawił ekwipunek i czołgał się ostrożnie, badając ostrą woń dobywającą się z pieczary. Ostrą woń? Raczej fetor ścierwa, który przyprawił Dana o mdłości. Myśliwy obejrzał się i skinął potwierdzająco:

- Lew! Ale stary. Nie był tu przynajmniej od pięciu dni.

- To wystarczy. Nawet smród starego lwa odstraszy małpy skalne. Oczyszczymy jaskinię i będziemy mogli przenocować bez obawy, że zaatakują nas te potwory - skomentował Asaki tonem zwierznika.

Bez trudu wysprzątała jaskinię. Lwie posłanie z suchych paproci i traw spłonęło błyskawicznie, a ogień i dym uwolniły wnętrze od nieczystości i ohydnych fetoru. Wymietli popiół gałęziami. Potem Asaki i Nymani przynieśli naręcza wonnych liści, które zgnetli i roztarli, rozrzucając wokoło, by do reszty zniwelowały lwi smród.

Dan poszedł do potoku zaczerpnąć wody. Natrafił na małe rozlewisko, nad którym złociła się piaszczysta mielizna. Zdając sobie doskonale sprawę z tego, że w obcym świecie może czyhać wiele zasadzek, Terranin zbadał kijem piasek i wodę. Nie dostrzegając niczego oprócz wodnych owadów czy dziwnej ryby, ściągnął buty, podwinął nogawki i wszedł do wody. Była chłodna i orzeźwiająca, jednak nie ośmielił się jej napić, dopóki medyk nie wrzucił do manierki tabletek filtrujących. Potem napełnił po brzegi dwie manierki, które związał razem paskiem, wzuł buty i wrócił do jaskini, gdzie oczekiwał Tau z tabletkami filtrującymi.

Pół godziny później Dan siedział przy małym ognisku, opiekając na rożnie trzy małe ptaki, które złowił Asaki. W pewnej chwili zaczęła go piec stopa, którą trzymał zbyt blisko ognia. Gdy zzuł but, okazało się, że ma spuchnięte, prawie dwa razy grubsze palce stóp, rozognione jak po oparzeniu i niezmiernie bolesne przy dotykaniu. Siedzący obok Nymani nakazał Danowi zdjąć drugi but.

- Co to jest? - zdziwił się, gdy ściągając drugi but odczuł tylko odrobinę mniejszą torturę niż poprzednio. Nymani wystrugał z patyczka ostrą drzazgę.

- Piaskowiec, składa jaja w ciele! Musimy je wszystkie wypalić albo stracisz nogę.

- Wypal więc! - odparł głucho Dan, a potem przygryzł wargi widząc, że Nymani podpala rozwidloną drzazgę.

- Zaraz je wypalimy - powtórzył stanowczo Khat-kanin. - Jeżeli zrobimy to

dzisiaj, jutro trochę poboli, a do wesela wszystko się zagoi! Jeśli tego nie zrobimy, będzie źle!

Dan niechętnie przygotował się do bolesnego zabiegu. Już na samym początku Khatka sprawiła mu przykrą niespodziankę.

IV

Dan spoglądał markotnie na swoje piekące stopy. Operacja za pomocą ognistych drzazg okazała się bardzo bolesna. Wstydził się jednak przed Khatkaninami, którzy potraktowali to jako zwykły incydent w podróży. Teraz, gdy Tau uśmierzył ból, miał dość czasu, by zastanowić się nad własną głupotą. Dręczyła go obawa, że mógłby jutro rano być dla całej grupy przysłowiową kulą u nogi.

- To dziwne!

Dan, który uważał się nad sobą, przestraszył się nagle, gdy zobaczył medyka klęczącego nad rzędem manierek z fiolką tabletek filtrujących wodę. Tau przybliżył się do ogniska na kolanach, by zbadać działanie pigułek w jasnym blasku płomieni.

- O co chodzi? - zapytał Dan.

- Chyba uderzyliśmy w ziemię zbyt silnie. Większość tabletek rozsypała się na proszek. Muszę określić na oko, ile trzeba wsypać do wody. - Czubkiem noża wykrobał szczyptę proszku i wsypał do manierek. - Tyle powinno wystarczyć. Nie przejmujcie się tym, że woda smakuje trochę gorzko.

Gorzka woda, to najmniejsze zmartwienie - pomyślał Dan, próbując zgiąć spuchnięte palce. Postanowił, że jutro o świcie założy buty mimo bólu i utrzyma się na nogach - nieważne, ile to będzie go kosztować.

Kiedy wczesnym rankiem uwijali się jak w ukropie, by wyruszyć w drogę i przejść jak najwięcej, zanim słońce zacznie prażyć i zmusi ich do postoju w cieniu, okazało się, że nie jest tak źle. Owszem, doskwierały mu stopy, ale mógł maszerować na końcu pochodu, który zamykał Nymani.

Drogę zagradzała im dżungla, toteż musieli torować sobie przejście maczetami. Wkrótce Dan pozostający nieco w tyle dogonił towarzyszy, rad z tego, że karczowanie drogi w zielonym gąszczu zmusza wędrowców do wolniejszego marszu.

Piaskowce nie stanowiły jedyne utrapienia na Khatce. Po godzinie marszu kapitan Jellico zatrzymał się nagle, cały zlany potem, i począł bełkotać bez ładu i składu w pięciu językach plemiennych z pięciu różnych planet. Tau i Nymani dalej wywijali maczetami, torując drogę przez dżunglę. Wcale nie krytykowali astronautów, choć cała robota spadła na nich. Potem będą musieli wybierać ciernie z rąk i ramion. Kapitan miał już najwyraźniej dość całej wyprawy. W pewnej chwili wpadł prosto w kolczaste objęcia bardzo nieprzyjaznego krzewu.

Dan wybrał powalone drzewo obawiając się, że należy do dzikiej, wrogiej przyrody, rozłożył koc na jego pniu, by uchronić się od niespodzianek, zanim usiadł. Drzewa w dżungli nie należały do strzelistych olbrzymów, jakie rosną w prawdziwym lesie. Występowały tu raczej rozłożyste krzewy, które oplatały pnącza i liany, tworzące zielony mur nie do przebycia. Olśniewająco piękne kwiaty zachwycały jaskrawymi barwami. Nad pachnącymi kielichami unosiły się gęste chmary owadów. Dan zażył pigułki uodporniające na ukąszenia i jad. Nie mógł się nadziwić, że tylu turystów pragnęło odwiedzić Khatkę, a nawet płaciło astronomiczne sumy za ten wątpliwy przywilej. Chociaż domyślał się, że komfortowe safari, za które bogaci klienci płacili słono, musiało wyglądać zupełnie inaczej niż ich wędrówka przez bezdroża Khatki. W jaki sposób tropiciel zwierzyny mógł odnaleźć drogę w tym nieprzebytym gąszczu? Jeśli nawet kompas zamiast wskazywać północ, zwyczajnie oszalał! Jednak kapitan Jellico zrozumiał, że musi zawierzyć wiedzy i doświadczeniu Naczelnego Strażnika, skoro zawiódł kompas. Mimo wszystko wolałby, ażeby znów wspinali się po górskim zboczu. W zielonym półmroku czas nie miał znaczenia. Jednak gdy przetarli szlak do skalnej ściany, słońce chyliło się już ku zachodowi. Schronili się pod rozłożystymi gałęziami jednego z ostatnich drzew.

- To zdumiewające! - wykrzyknął Jellico, który sięgnął zranioną ręką na temblaku po zawieszoną na szyi lornetkę. - Pokonaliśmy prawie dziesięć mil nieprzebytej dżungli. Teraz wierzę bez zastrzeżeń we wszystkie opowieści o tropicielach z Khatki, sir. Z pewnością twoi ludzie nie zbłądzą nawet w najdzikszym terenie. Choć muszę przyznać, że miałem wątpliwości, gdy zawiódł kompas, że kiedykolwiek przebedziemy to zielone piekło.

Asaki roześmiał się.

- Kapitanie, nie kwestionuję waszych umiejętności przenoszenia się z jednego świata do innego ani sposobu, w jaki prowadzisz handel zarówno z dziwnymi istotami ludzkimi, jak i z mieszkańcami planet, którzy wyglądają zupełnie inaczej niż człowiek. Każdy z nas jest mistrzem na swoim poletku. Na Khatce każdy chłopiec, zanim stanie się mężczyzną, musi nauczyć się orientacji w dżungli i to bez żadnych przyrządów, zdając się jedynie na wskazówki, które znajdzie tutaj! - postukał się w czoło. - Zatem przez pokolenia rozwijaliśmy nasze wrodzone instynkty. Tym, którzy nie zdołali wykształcić takich zdolności, zabroniono płodzić potomstwo, gdyż mogło urodzić się dotknięte tą samą, dziedziczną, jak sądziliśmy, ułomnością. My, Khatkanie, jesteśmy jak psy gończe, które pobiegną za nieuchwytną wonią zwierzyny.

Jesteśmy również wędrowcami, którzy nawet lepiej niż według kompasu orientują się w terenie, wsłuchując się we własne wyczulone zmysły.

- Czy teraz będziemy się wspinać? - Tau omiół krytycznym spojrzeniem strome zbocze.

- Nie o tej porze. Słońce na tych rozgrzanych stokach może przysmażyć ludzką skórę na węgiel, jeśli ktoś nieopatrznie dotknie skały. Zaczekamy trochę...

Khatkanie skorzystało ze sposobności i ucieli sobie długą drzemkę skuleni na lekkich kocach. Trzej astronauty wydawali się niezmordowani. Dan najchętniej zdjąłby buty, ale obawiał się, że nie zdoła ich wciągnąć z powrotem na spuchnięte nogi. Odgadł z pozbawionych swobody ruchów kapitana, że Jellico również odczuwa ból. Tau siedział nieruchomo, wpatrując się w wysoką skałę na zboczu, która wyglądała jak palec wskazujący na niebo.

- Jakiego koloru jest ta skała? - zapytał medyk.

Zaskoczony Dan przyjrzał się kamiennemu palcowi z ciekawością. Na pozór wydawało się, że barwa dziwnej skały nie różni się od otaczających ją głazów - zwietrzała czerń, która w niektórych miejscach przeblyskiwała brązem.

- Jest czarna lub może ciemnobrązowa - odparł Dan.

Tau przesunął spojrzenie na Jellico.

- Zgadza się z tym - kapitan skinął głową.

Tau zakrył rękami oczy na moment, poruszając przy tym wargami jakby liczył. Potem odsłonił oczy i spojrzał na zbocze. Dan obserwował, jak medyk mruga wolno powiekami.

- Tylko czarna i brązowa? - nagabywał Tau.

- Nie. - Jellico oparł zranioną rękę na kolanie, wychylił się w przód, jakby prowokując wskazaną skałę w oczekiwaniu, że przybierze nagle bardziej przerażający wygląd.

- Dziwne - mruknął Tau do siebie, a potem dodał żywo: - Oczywiście, że macie rację. To słońce robi psikusy moim oczom.

Dan przypatrywał się wciąż skale w kształcie palca. Być może ostre słońce zmaćniło wzrok medyka. On sam nie mógł dostrzec niczego niesamowitego w tej bryle. Ale skoro kapitan nie pytał o nic, on również nie chciał niepotrzebnie niepokoić Tau. Nie minęło pół godziny, a medyk i kapitan nie zdołali się oprzeć ciszy, żarowi i znużeniu i zapadli w drzemkę. Teraz, gdy Dan zajął się tylko swoimi sprawami, pieczenie w stopach dokuczało mu znacznie mocniej. Czuwał bezsennie, wpatrując

się w skalny palec. Wciąż zastanawiał się, co też Tau zobaczył na stoku? Wtem sam zauważył jakiś dziwny ruch w słońcu. Co to było? Ale dlaczego medyk pytał o barwę skały? Znow to zobaczył. Skupił uwagę na ruchomym punkcie i wyśledził na tle skały zarys głowy - głowy tak groteskowej, że powiązał ją natychmiast z magicznymi stworzeniami czarownika Lumbrilo. Gdyby Dan nie widział już tego stworzenia w kolekcji hologramów kapitana Jellico, osądziłby zapewne, że wzrok płała mu figle.

Zwierzę miało kulistą głowę, którą ozdabiały spiczaste uszy zakończone pędzelkami z futra, sterczące nad płasko sklepioną czaszką. Okrągłe jak monety oczy osadzone w głębokich oczodołach błyskały groźnie. Stworzenie miało świński ryj obrośnięty szczecina, z którego wystawał długi, purpurowy język. Jednak głowa chimery miała barwę skały, przy której dziwne zwierzę odpoczywało. Dan nie miał wątpliwości, że małpa skalna obserwowała ich małe obozowisko. Słyszał swego czasu wiele budzących grozę opowieści o tych na wpół inteligentnych zwierzętach - najinteligentniejszych - jak mówiono - rdzennych mieszkańcach Khatki. Na ogół uważano, że są to najbardziej złośliwe istoty we wszechświecie. Dan zaniepokoił się. Ten samotny czatownik mógł być zwiadowcą wielkiego stada, które planowało atak na ich obóz. A stado małp skalnych było strasznym przeciwnikiem.

Asaki przebudził się i usiadł. Okrągła głowa bestii obracała się czujnie, śledząc każdy ruch Naczelnego Strażnika.

- Wyżej... przy skalnym palcu... po prawej... - Dan zniżył głos do szeptu, ostrzegając Khatkanina.

Kiedy zobaczył, że Asaki napiął mięśnie, domyślił się, że Naczelnny Strażnik usłyszał i zrozumiał. Jeśli nawet Khatkanin wypatrzył małpę skalną, nie zdradził się ani jednym gestem, że wie o obecności zwiadowcy stada. Podniósł się sprężysto i niedostrzegalnym uderzeniem stopy obudził Nymaniego - jak wyszkolony w dżungli tropiciel.

Dan opuścił wolno rękę z pnia, na którym siedział i obudził Jellico, który natychmiast otworzył swoje szare oczy. Asaki podniósł iglicznik i błyskawicznie wypalił. Dan nie spotkał jeszcze tak szybkiego strzelca jak Asaki.

Głowa chimery obsunęła się po skale, a potem opadła, podczas gdy kosmate cielsko bestii niezmiernie podobne do ludzkiego ciała, zważyło się miękko na zbocze. Chociaż martwa małpa skalna nie mogła wydać krzyku, usłyszeli wrzask gdzieś powyżej skały w kształcie palca - straszliwe chrząkanie wydobywające się z głębi wielu małpich gardeł. Po stromym stoku przetoczyła się biała kula, minęła martwe

zwierzę, przez chwilę żeglowała w powietrzu i wybuchnęła kilka stóp dalej.

- Z powrotem! - Asaki ponaglił do ucieczki swego najbliższego sąsiada, kapitana Jellico i pobiegli w stronę dżungli.

Potem Naczelny Strażnik wystrzelił wiązkę promieni z iglicznika w resztki kuli. Rozległo się przenikliwe, słodkie buczenie i w powietrze uniósł się mieniący się obłok czerwonego pyłu, jaskrawy jak roztopiona miedź w blasku słońca. Dan odgadł, że to owadzie skrzydełka, które biją zbyt szybko, by je można zobaczyć. Resztki gniazda uleciały z dymem, ale promienie z iglicznika czy blastera nie mogły powstrzymać armii jadowitych owadów, która wydostała się ze spalonej kuli, pożądającej wściekle ciepłokrwistych istot, których zapach nęcił i drażnił rozwścieczony rój.

Ludzie rzucili się w popłochu w zarośla, tarzając się wśród gnijących roślin płożących się na podmokłej ziemi, wcierając ich kojący sok w pokąsane ciała. Piekący jak ogień ból, po stokroć gorszy niż tortura, jakiej doświadczył Dan poprzedniego wieczoru, przeszywał ramiona i plecy młodego astronauty. Przewrócił się na wznak i posuwał z trudem do tyłu, by zabić żądłące go owady i zarazem uśmierzyć ból chłodną, wilgotną ziemią. Po dobiegających zewsząd wrzaskach poznał, że nie on jeden stał się ofiarą ognistych os. Usłyszał jak jego towarzysze rozkopują rękami błoto i nakładają na twarze i głowy, by chroniło skórę przed żądłami rozwścieczonych os.

- Małpy!

Zdławiony okrzyk zaalarmował mężczyzn tarzających się po podmokłym poszyciu dżungli. Zgodnie ze swoją naturą małpy skalne, które schodziły z gór, chrząkały przed walką, zapowiadając atak. Ta szczególna cecha gatunku nierzadko ratowała przyszłe ofiary przed niechybną śmiercią, gdyż potworne chrząkanie ostrzegało je w porę przed atakiem. Parły naprzód, człapiąc niezgrabnie na wpół wyprostowane. Pierwsze dwie - olbrzymie samce mierzące prawie sześć stóp wysokości - padły pod ogniem iglicznika Asakiego. Trzecia bestia uniknęła ostrzału i pobiegła w bok w kierunku Dana. Terranin pociągnął za języczek spustowy miotacza niemal w ostatniej chwili, kiedy małpa rozdziawiła szeroko paszczę w kształcie świńskiego ryja i wyszczerzyła zielone kły, a straszliwy smród zwierzęcia omal nie pozbawił go tchu. Małpa wyciągnęła ku niemu uzbrojoną w pazury łapę, która osunęła się po ubłoconym ciele, kiedy wystrzelił z miotacza. Upadł na ziemię pod ciężarem ogromnego cielska bestii, która runęła nań rozcięta niemal na dwie połowy

promieniem miotacza. Gdy odczołgał się od okaleczonego ciała napastnika i próbował wstać, zwierzę wciąż wyciągało pazurastą łapę w jego stronę i szczyrzyło zielone kły.

Huk blastera, a właściwie dwóch blasterów zagłuszył wrzask małp. Dan również wyciągnął rozpylacz, oparł się o pień przygotowując do strzału. Wypalił i zobaczył jak mniejsza, ale bardziej zwinna bestia upada na ziemię, skrzecząc przeraźliwie. Potem już nie pojawiło się na linii strzału żadne kosmate stworzenie, choć kilka straszliwych bestii wciąż parło naprzód, próbując dosięgnąć ludzi. Strząsnął ognistą osę z nogi. Był rad, że może oprzeć się o pień drzewa, gdyż woń małpiej krwi i ścierwa przyprawiała go o mdłości. Kiedy opanował nudności, wyprostował się. Zobaczył z ulgą, że jego towarzysze nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Medyk Tau widząc okrwawioną straszliwie małpią kwią twarz młodego astronauty, podbiegł doń pełen niepokoju:

- Dan, co one ci zrobiły?

Jego młodszy kolega roześmiał się trochę histerycznie:

- Mnie nic... To małpia krew! - Wytarł wiązką trawy plamy małpiej krwi i podążył za innymi we wciąż silnym blasku zachodzącego słońca.

Nymani odkrył bystry strumień pod spienioną kaskadą, gdzie rwący prąd chronił dostatecznie przed nadbrzeżnymi piaskowcami. Rozebrali się ochoczo i najpierw umyli, a potem wyprali cuchnące ubrania, w czasie gdy Tau trudził się wyciągając niezliczone żądła ognistych os, które pokłuły skórę wędrowców. Niewiele mógł zrobić, by złagodzić ból i zmniejszyć obrzęk w miejscach ukąszeń, dopóki Asaki nie przygotował tubylczego leku z rośliny podobnej do trzciny. Pocięta łodyga wydzielala lepki, purpurowy sok, który zasychał na skórze jak smolista żywica, uśmierzając piekący ból. Zatem oklejeni plastrami purpurowej żywicy wspięli się znów na zbocze i przygotowali, by spędzić noc w niecce pomiędzy dwiema skałami, z pewnością nie tak przytulnej jak jaskinia, ale stanowiącej również pewnego rodzaju osłonę.

- Kosmiczni turyści zapłaciliby krocie za taki nocleg podczas safari - stwierdził gorzko Tau, pochylając się nieco w przód, by nie oprzeć się przypadkiem o skałę obolałymi plecami.

- Trudno w to uwierzyć - rzekł Jellico.

Dan spostrzegł, że Nymani wykrzywia twarz w ironicznym półuśmiechu, gdyż drugi policzek ma spuchnięty i posmarowany purpurową żywicą.

- Nie zawsze będziemy spotykać mały skalne i ogniste osy tego samego dnia - pocieszył ich Naczelnny Strażnik. - A poza tym goście w rezerwach noszą skafandry ochronne, które skutecznie uniemożliwiają wszelki atak.

Jellico parsknął śmiechem.

- Myślę, że jednak wasi klienci nie odwiedziliby powtórnie Khatki po takich przeżyciach, jakich doświadczyliśmy dzisiaj. Z czym spotkamy się jutro? Z tabunem pędzących gرازów czy z jeszcze bardziej przebiegłymi i groźnymi bestiami?

Nymani podniósł się nagle i oddalił kawałek od schroniska wśród skał. Zatrzymał się na zboczu wypatrując czegoś. Dan zobaczył, że myśliwy porusza nozdrzami tak jak wówczas, gdy zwiertzył lwi zapach w jaskini.

- Coś martwego - powiedział powoli. - Coś ogromnego lub jeszcze...

Asaki zszedł do nich, skinął ręką i Nymani ześlizgnął się po górskim zboczu.

- Co to jest? - zapytał Jellico.

- Trudno orzec od razu. Mam nadzieję, że nie jest to coś, czego się obawiam - odparł wykrętnie Naczelnny Strażnik. - Zapoluję na lable! Widziałem świeży trop nad strumieniem.

Zszedł ze szlaku i powrócił pół godziny później z przewieszoną przez ramię zdobyczą. Odzierał właśnie ze skóry zwierzynę, gdy przybiegł Nymani.

- Cóż tam?

- Wilczy dół - odpowiedział myśliwy.

- Kłusownicy? - zainteresował się Jellico.

Nymani przytaknął. Asaki oprawił spokojnie lable. Ale potem, gdy ze znajomością rzeczy patroszył zwierzę, w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Spojrzał na długi cień, który rzucała skała o zachodzie słońca.

- Również to widziałem - rzekł.

Jellico wstał. Podniósł się i Dan. Zainteresowani tym, co usłyszeli, poszli zobaczyć wilczy dół. Minęło ledwie pięć minut, gdy poczuli smród, choć nie posiadali niezwykle wyczulonego węchu tubylców. Zapach rozkładu był prawie namacalny w rozgrzanym powietrzu. Stał się jeszcze bardziej nieznośny, gdy stanęli nad wilczym dołem. Dan wycofał się pośpiesznie. Było tu równie okropnie jak na małym pobojuwisku. Ale kapitan i dwóch Khatkan stało spokojnie nad dołem, oceniając drapieznika, którego porzucili zbiegli kłusownicy.

- Głam, graz, hoodra? - zgadywał Jellico. - Wielkie kły i wspaniała skóra to wszystko, czego pożąda kupiec.

Asaki ze smutkiem odsunął się od dołu.

- To kilkudniowe cielęta, samice. Wszystkie zabili razem dla zabawy i pozostawili tutaj, nie zdzierając nawet skóry.

- Udali się tym szlakiem... - Nymani wskazał na wschód.

- Poszli przez moczary! - Asaki był wstrząśnięty. - Musieli być szaleni.

- Albo wiedzą więcej o tej krainie niż twoi ludzie - poprawił go Jellico.

- Jeśli kłusownicy wkroczyli na moczary Mygra, możemy pójść w ich ślady!

Nie od razu - Dan zaprotestował bezgłośnie. Asakiemu na pewno nie chodziło o to, by ścigali wyjętych spod prawa kłusowników na niebezpiecznych bagniskach, gdzie zbiegli Khatkanie już odkryli niezbadane śmiertelne pułapki.

V

Siedząc Dan wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma w ciemność. Pośrodku obozowiska dogasała garstka żaru, która pozostała z dopalającego się ogniska. Pochylił się, zastanawiając się zarazem, dlaczego się poruszył. Drżały mu ręce, pokryta zimnym potem skóra zsiniała od chłodu. Chociaż był świadom tego, że wciąż trwa noc, nie mógł sobie przypomnieć koszmaru sennego, który go przebudził. Odczuwał narastający niepokój, którego nie potrafił nazwać. Jakie zwierzę polowało w ciemności? Chodziło po górskim zboczu? Nasłuchiwało, szpiegowało i czekało? Dan prawie podskoczył, gdy w słabym świetle ogniska ukazał się jakiś kształt. Zobaczył, że stoi obok medyk Tau, który przypatruje mu się ze śmiertelną powagą.

- Zły sen?

Młody astronauta przytaknął, jakby wbrew swej woli.

- Cóż, nie jesteś sam. Czy pamiętasz coś z tego snu?

Dan z wysiłkiem oderwał wzrok od otaczającej obozowisko ściany ciemności. Miał wrażenie, że strach ze snu urzeczywistnił się i czaił gdzieś w pobliżu.

- Nie, nic nie pamiętam - przetarł rozspane oczy.

- Ani ja - zauważył Tau. - Ale obaj zostaliśmy poddani działaniu jakiejś potężnej mrocznej siły.

- Sądzę, że powinniśmy oczekiwać nocnych koszmarów po wczorajszych przejściach - Dan próbował znaleźć logicznie wyjaśnienie, choć jednocześnie rozsądek zaprzeczał każdemu słowu, które wypowiadał. Miewał już nocne koszmary - żaden nie wywarł na nim tak silnego wrażenia. Nie, nie chciał za żadną cenę ponownie zasnąć tej nocy. Dorzucił dREW do ognia. Tau usiadł obok niego.

- Jest coś jeszcze... - zaczął medyk, urywając nagle.

Dan nie ponaglał go. Tylko siłą woli zwalczył neodpartą pokusę, by wypalić na oślep z miotacza w otaczające ich ciemności i wysledzić w krótkotrwałym błysku promieni tę nieuchwytną istotę, która - jak przeczuwał - krąży gdzieś w mroku w pobliżu obozowiska.

Wbrew wysiłkom, Dan zasnął ponownie przed świtem. Rankiem obudził się nie wypoczęty i ku swemu przerażeniu nie odczuwał już najmniejszej odrazy wobec otaczającego krajobrazu.

Choć Asaki nie podsunął im myśli, że natrafią na kłusowników na moczarach

Mygra, obstawał, żeby ruszyli w przeciwnym kierunku i poszukali drogi przez góry. Kiedy dotrą do rezerwatu, zorganizuje karną wyprawę, która rozprawi się z przestępcami. Rozpoczęli więc trudną wspinaczkę. Zostawili w dole parną wilgoć nizin i wędrowali w zabójczym skwarze po rozpalonych przez słońce skalnych występach.

Słońce świeciło jasno, zbyt jasno. Z rzadka tylko jakaś skała rzucała nikły cień, w którym wędrowcy mogli przez chwilę odpocząć. Jednak Dan, który przystawał niekiedy, by łyknąć wody z manierki, nie mógł pozbyć się wrażenia, że wpatrują się weń niewidzialne oczy, że coś podąża jego śladem. Małpy skalne? Jak bardzo przebiegłe byłyby te bestie, jednak nie leżało w ich naturze tropienie spodziewanej zdobyczy w zupełnej ciszy. Małpy nie przygotowywały też długotrwałych planów łowieckich. Kto zatem podążał za nimi. Lwy?

Zauważył, że Nymani i Asaki są bardzo niespokojni. Co jakiś czas zmieniali się na tylnej straży. Jednak żaden z nich nie skarżył się na niewygodę, którą wszyscy musieli dzielić w czasie wspinaczki.

Okolica była zupełnie pozbawiona wody. Podczas znoej wędrowki nie spotkali nawet potoczku, by odnowić zapas świeżej wody. Ale ponieważ byli doświadczonymi podróżnikami, napili się obficie, zanim wyruszyli w długą drogę. Gdy zatrzymali się na odpoczynek, niemal w samo południe, manierki z wodą były opróżnione zaledwie do połowy.

- „Hauf!”

Wyszarpnęli broń. Ujrzeni przed sobą szkaradną małpę skalną, która chrząkała, potrzasała głową i tupiała na ich widok. Asaki wystrzelił z biodra i zobaczyli, jak zwierzę chwyta się wielką, pazurzastą łapą za zranioną pierś, z której tryska czarna fontanna krwi, i rzuca się na nich. Nymani przeciął bestię wiązką promieni z iglicznika. Czekali teraz w napięciu na atak całego stada, który powinien nastąpić po zastrzeleniu zwiadowcy. Jednak nic się nie wydarzyło. Nie usłyszeli żadnego odgłosu, nie dostrzegli żadnego ruchu. Nagle zmroził wszystkich niesamowity widok. Oto straszliwie okaleczone ciało poruszyło się, próbowało wstać i posuwało się pokracznie w stronę ludzi. Dan wiedział, że to było niemożliwe, że zwierzę nie mogło żyć z tak potwornymi ranami. Choć bestia parła naprzód ze zwieszoną głową i pochylonymi ramionami, jej oczy były martwe, wybałuszone ku oślepijącemu słońcu. Jednak pokiereszowana małpa próbowała dosięgnąć ludzi, których nie mogła widzieć.

- Demon! - wykrzyknął Nymani, upuszczając iglicznik i chowając się wśród skał.

Kiedy bestia posuwała się niezdarnie do przodu, zdarzyło się coś niepojętego. Oto otwarte rany zasklepiły się, głowa wyprostowała się na prawie niewidocznej szyi, oczy zaiskrzyły się znów blaskiem żywych źrenic, a ze świńskiego ryja wytrysnęła ślina.

Jellico podniósł iglicznik, który upuścił Nymani i wystrzelił z opanowaniem, którego Dan mógł tylko pozazdrościć swemu dowódcy. Po raz drugi mała skalna upadła. Tym razem strzał rozerwał ją na strzępy.

Nymani wrzeszczał wniebogłosy, a Dan próbował zdławić własny krzyk przerażenia. Martwa istota odżyła po raz drugi, znów pełzała pokracznie, próbując wstać, wyleczona raz jeszcze. Asaki z pozieleniałą twarzą szedł jakby każdy krok sprawiał mu torturę. Upuścił iglicznik. Pochwycił duży kamień wielkości głowy ludzkiej. Podniósł wysoko aż jego mięśnie napięły się jak powrozy i rzucił z całą siłą. Głaz trafił w cel. Mała skalna upadła po raz trzeci.

Kiedy uzbrojona w pazury łapa zaczęła się znowu poruszać, Nymani załamała się całkowicie. Pobiegł na oślep, a jego piskliwe wrzaski rozbrzmiewały wokoło. Gdy bestia podniosła się znów, staniając się na nogach, skrwawiona głowa odzyskała raz jeszcze dawny kształt. Gdyby Dan nie wrósł w ziemię z przerażenia, czmychnąłby, gdzie pieprz rośnie jak Khatkanin. A skoro nie mógł uciec, wyciągnął miotacz promieni i wycelował w zwierzę. Tau uderzył w lufę, jego twarz posiniała z wściekłości, a oczy zwężyły się z gniewu. Stał naprzeciwko potwora.

Nie wiadomo skąd wyłonił się na ziemi ruchomy cień, pogłębił i ucieleśnił, gotując się do skoku ku gardłu skalnej mały. Grzbiet niesamowitego stworzenia wyprężył się jak śmiercionośna sprężyna, wąskie, zielone oczy wpatrywały się w zdobycz. Dan rozpoznał w niezwykłym zwierzęciu czarnego leoparda. Jego ciało zastygło na moment i nagle wystrzeliło w powietrze powalając zdawałoby się nieśmiertelną małą. Rozległo się groźne warczenie i po krótkiej kotłowaniu na zboczu góry było już po wszystkim!

Asakiemu drżały ręce, gdy wycierał zroszoną potem twarz. Jellico mechanicznie naładował iglicznik. Tau chwiał się tak mocno, że Dan podskoczył, by podtrzymać go, gdyby miał upaść. Trwało to zaledwie moment. Po chwili medyk przewyciężył siłę, która próbowała go zbić z nóg, i wyprostował się.

- Magia? - Jellico, opanowany jak zawsze, przełamał milczenie.

- Zbiorowa halucynacja - poprawił go Tau. - Bardzo silna.

- Co! - Asaki zakrzuszył się i zaczął znów: - W jaki sposób zadziałała?

Medyk potrząsnął głową.

- To pewne, że nie posłużono się zwykłymi metodami. A poza tym opanowało nas, kiedy nie byliśmy w stanie się przeciwstawić. Nie pojmuję tego.

Dan z trudem uwierzył w to wszystko. Obserwował w napięciu jak kapitan Jellico maszeruje wielkimi krokami na miejsce, gdzie rozegrała się bitwa i bada dokładnie ziemię, na której nie pozostał nawet najmniejszy ślad walki. Musieli przyjąć do wiadomości wyjaśnienie Tau. Tylko ono wydawało się rozsądne.

Asakim owładnął gniew tak gwałtowny, że Dan uświadomił sobie nagle, że cienka warstewka kultury, na której zbudowano cywilizację Khatki może w każdej chwili prysnąć jak bańka mydlana.

- Lumbrilo! - Naczelnny Strażnik rzucił to imię jak przekleństwo. Potem z widocznym wysiłkiem opanował się i podszedł do Tau. Potrząsnął drobnym medykiem prawie groźnie. - W jaki sposób to zrobił? - zażądał odpowiedzi po raz drugi.

- Nie wiem.

- Czy spróbuje po raz kolejny?

- Być może w inny sposób.

Asaki ocenił sytuację i spojrzał przed siebie.

- Nie dowiemy się, co jest prawdą, a co złudzeniem?

- Musisz wziąć pod uwagę również to - ostrzegł Tau - że nierzeczywiste stworzenie może zabić wierzącego równie szybko jak prawdziwa bestia.

- To także wiem. Zdarzało się to już tyle razy. Gdybyśmy tylko mogli się dowiedzieć, jak to się dzieje. Tutaj nie było ani bębnow, ani śpiewów, żadnej z tych sztuczek, które płaczą umysł. Zresztą Lumbrilo zwykle sam przyzywa demony. Więc jakim sposobem, nie posługując się magicznymi narzędziami sprawia, że widzimy to, czego nie ma?

- To właśnie musimy odkryć jak najszybciej, sir. Albo sami zagubimy się wśród nierzeczywistych i prawdziwych istot.

- Medyku, ty również posiadasz moc. Możesz ocalić nas przed zagładą! - sprzeciwił się Asaki.

Tau pocierał dłonią zmienioną, szczupłą twarz, która zaledwie się lekko zaróżowiła. Dan wciąż podtrzymywał go słaniającego się na nogach.

- Człowiek może zrobić tak niewiele, sir. Walka z Lumbrilo na jego własnej ziemi jest bardzo wyczerpująca, toteż nie mogę walczyć zbyt często.

- Ale czy on nie traci również swoich sił w tych zmaganiach?

- Zastanawiam się... - Tau spojrział na nagą ziemię za plecami Khatkanina, gdzie przed chwilą toczyła się bitwa dwóch nierzeczywistych istot: mały skalnej i czarnego leoparda. - Ta magia to chytra sztuczka, sir. Stwarza ją i podsycza ludzka wyobraźnia i wewnętrzny lek. Lumbrilo, który trzyma nas na muszce, wcale nie musi wyczarowywać demonów. Po prostu sprawia, że sami przywołujemy bestie, które nas atakują.

- Poprzez narkotyki? - zapytał Jellico. Tau odzyskał siły i Dan nie musiał go już podtrzymywać. Wyjął z torby jakieś leki. Zaniepokoił się.

- Kapitanie, zdezynfekowaliśmy ukłucia po cierniach. Wyleczyliśmy twoje stopy, Thorson. Ale ja nie użyłem niczego...

- Zapomniałeś o tym, Craig, że wszystkich nas podrapały mały skalne.

Tau usiadł na ziemi. Z gorączkowym pośpiechem rozpieczętował medykamenty, wyjął kilka pojemniczków. Potem otwierał wszystkie po kolei, badając zawartość wzrokiem i wachając lekarstwa, a dwa nawet posmakował językiem. Kiedy sprawdził medykamenty, potrząsnął głową.

- Nawet jeśli w jakiś sposób pomieszały się, musiałbym dokonać analizy w laboratorium, by to odkryć. A poza tym nie wierzę, by Lumbrilo mógł zatrzeć ślady swojej działalności tak przemyślnie. Być może przebywał jednak kiedyś na innej planecie. Czy miał do czynienia z astronautami? - zapytał Naczelnego Strażnika.

- Rodzaj urzędu, który piastuje, nie pozwala mu odbywać kosmicznych podróży ani utrzymywać bliskich związków z przybyszami z gwiazd. Nie sądzę, by zatruł twoje medykamenty. Wykorzystał raczej okazję i przygotował grunt, by uzyskać pożądany efekt w niedalekiej przyszłości. Bo chociaż leki stosuje się podczas podróży, wszak zdarza się wiele niespodzianek, Lumbrilo nie mógł być pewien, że zaaplikujesz jakiegokolwiek lekarstwo w drodze do rezerwatu.

- Jednak był pewien, że tak będzie. Odgrażał się przecież... - przypomniał Jellico.

- Więc to musiało być coś, czego używamy na co dzień, coś, od czego jesteśmy uzależnieni.

- Woda!

Dan właśnie zamierzał się napić z manierki. Ale gdy zaświtała mu w głowie

myśl, że Lumbrilo mógł zatruć wodę narkotykiem, powąchał tylko chłodny płyn zamiast go wypić. Ale nie wyczuł żadnego zapachu. Przypomniał sobie jednak, co powiedział Tau, gdy odkrył, że tabletki filtrujące wodę są sproszkowane.

- Właśnie! - Tau poszperał w torbie lekarskiej i wydobyl z jej przepastnego wnętrza fiolkę z białym proszkiem usianym ziarnistymi grudkami. Wysypał odrobinę proszku na otwartą dłoń i powąchał, a potem posmakował koniuszkiem języka. - Tabletki filtrujące i coś jeszcze... - poinformował.

- To może być jeden z sześciu popularnych narkotyków lub jakiś miejscowy środek, którego jeszcze nie sklasyfikowano.

- Prawda. Odkryliśmy tutaj nieznane narkotyki - Asaki obrzucił pochmurnym spojrzeniem zieloną dżunglę. - Więc nasza woda jest zatruta?

- Czy zawsze filtrujecie wodę? - Tau spytał Naczelnego Strażnika. - Z pewnością musieliście przywyknąć do tutejszej wody przez stulecia, które minęły od czasu, gdy wasi przodkowie wylądowali na Khatce. Inaczej nie przeżylibyście. My musimy stosować tabletki filtrujące lecz czy dotyczy to także was?

- Jest woda i woda! - Asaki potrząsnął swoją manierką. Jego pochmurne spojrzenie stało się surowsze, jakby obawiał się, że goście usłyszeli jego wewnętrzny chichot. - Tak, pijemy wodę ze źródeł po tamtej stronie gór. Jednak nie znamy wody w pobliżu moczarów Mygra. Jeszcze jej nie próbowaliśmy. Mamy teraz okazję, by na własnej skórze przekonać się, czy jest zdrowa!

- Czy sądzisz, że jesteśmy dosłownie zatruci narkotykiem? - zapytał Jellico, pragnąc rozwiązać swoje obawy.

- Nikt nie opijał się nadmiernie - zauważył Tau w zamyśleniu. - Nie wierzę w to, żeby Lumbrilo zamierzał nas zabić na miejscu, działając na wyobraźnię. Trudno orzec, jak długo będziemy pod działaniem narkotyku.

- Skoro zobaczyliśmy małą skalną - zastanawiał się głośno Dan - dlaczego nie widzieliśmy całego stada? Dlaczego zdarzyło się to tu i teraz?

- Właśnie! - Tau wskazał na szlak wspinaczki, który wyznaczył Asaki.

Przez dłuższą chwilę Dan nie dostrzegł niczego interesującego, a potem umiejscowił źródło niepokoju - skałę w kształcie palca. Tym razem nie sterczała prosto w niebo. W rzeczy samej nachylała się tak, że jej wierzchołek wskazywał na powrót szlak, który przebyli. Chociaż w zarysie była bardzo podobna do tej iglicy, z której zaatakowały ich wczoraj prawdziwe małe skalne.

Asaki wykrzyknął coś w miejscowym języku i uderzył gniewnie w kolbę

iglicznika.

- Zobaczyliśmy tę skałę i niemal w tejże chwili ujrzelśmy również małą skalną! Gdyby wcześniej napadł na nas graz albo lew, później znów wyskoczyłby na nas lew albo graz.

Kapitan Jellico wybuchnął sardonicznym śmiechem.

- Chytra sztuczka! Lumbrilo pozostawił nam po prostu wybór upióra, który będzie nas prześladował w sprzyjających okolicznościach, to znaczy wtedy, gdy pojawi się skała w kształcie palca. Ciekaw jestem, ile podobnych skał jest w tych górach? Jak wiele razy wyskoczy na nas mała skalna? Kiedy napotkamy taką skałę?

- Kto to wie? Ale jeśli będziemy pić tę wodę, nie ominą nas kłopoty. Słyszac to, czuję się uspokojony. Bo jeśli tak jest, wystarczy po prostu nie pić tej wody - odrzekł Tau i schował fiolkę ze sproszkowanymi tabletkami filtrującymi w osobnej przegródce swej ogromnej torby lekarskiej. - Nie wiem, jak długo możemy obejść się bez wody. To może stanowić pewien problem.

- Przecież na Khatce woda nie płynie tylko w strumieniach - wyjaśnił łagodnie Asaki.

- Myślisz o owocach? - zapytał Tau.

- Nie, o drzewach. Lumbrilo nie jest myśliwym, by wiedzieć wszystko o dżungli. Nie mógł również przewidzieć, kiedy i gdzie zacznie działać jego magia. Dopóki nasz oblatywacz nie uległ zaplanowanej katastrofie, przypuszczał, że uzupełnimy zapas wody w rezerwacie. To pustynna kraina lwów, gdzie źródła znajdują się w wielkiej odległości od siebie. W dole rozciąga się dżungla i znajduje się źródło, z którego możemy bez obawy zaczerpnąć wody. Ale najpierw muszę odszukać Nymaniego i przekonać go, że choć to pewnego rodzaju czarna magia, jednak nie przywołuje rzeczywistych demonów.

Zbiegł lekko ze zbocza, by poszukać przerażonego myśliwego.

- Co oni mówili o wodzie w drzewach? - zapytał Dan kapitana Jellico.

- Występuje tutaj rzadki gatunek drzew o grubym pniu. Drzewa te gromadzą wodę w porze deszczowej, by przetrwać porę suchą. Dopóki trwa okres przejściowy, będziemy mogli czerpać wodę z pnia takiego drzewa, jeżeli oczywiście odnajdziemy je w dżungli. Tau, co o tym sądzisz? Czy możemy pić tę wodę bez tabletek filtrujących?

- Musimy wybrać mniejsze zło. Ale przecież możemy się zaszczepić.

Osobiście wolałbym raczej stoczyć bitwę z chorobą niż narazić się znów na działanie

narkotyku, który zakłóca percepcję. Bez wody nie można obejść się zbyt długo...

- Chciałbym odbyć krótką rozmowę z Lumbrilo, jeśli go znowu spotkamy - powiedział Jellico. Łagodność tonu, jakim wyraził swe życzenie, była problematyczna.

- Jeśli go kiedykolwiek znów spotkamy na pewno z nim porozmawiam - przyrzekł sobie Tau.

- Jakie więc mamy szansę, sir? - zapytał Dan. Zakręcił manierkę i jego pragnienie wzmoгло się w dwójnasób, gdy zrozumiał, że nie ośmieli się napić zatrutej narkotykiem wody.

- Cóż, stawiliśmy już czoło jego podstępnyim sztuczkom. - Tau zamknął torbę lekarską. - Spodziewam się, że natkniemy się na jedno z tych drzew, zanim zapadnie zmrok. Za to wcale nie chcę spotkać dziś skały w kształcie palca.

- Dlaczego leopard? - zapytał w zadumie Jellico. Czyżby jeszcze jeden przykład użycia ognia, by walczyć z ogniem? Przecież Lumbrilo nie należy do tych, na których takie rzeczy robią wrażenie.

- Nie jestem tego pewien, sir. - Tau wytarł pot z czoła. - Być może sprawiłem, że małpa zniknęła, ale nie polegało to na odparowaniu projekcji. Może jednak tak właśnie było? Najlepiej walczyć z tymi halucynacjami właśnie w ten sposób, wysyłając do walki przeciwko wrogiej projekcji własną projekcję. Nie potrafię nawet wyjaśnić, dlaczego wybrałem właśnie leoparda. Po prostu przeszło mi w owej chwili przez myśl, że to najszybszy i najbardziej krwiożerczy drapieżnik.

- Lepiej przygotuj długą listę takich drapieżników - Jellico znów pokazał, że ma poczucie humoru. - Sam mogę wymienić kilka, jeśli pozwolisz. A to dlatego, że nie podzielam twojego optymizmu i wiary w to, że nie zobaczymy już podobnych skał. Ale oto wraca Asaki z naszym uciekinierem...

Naczelny Strażnik na wpół prowadził, na wpół podtrzymywał swojego podwładnego, który wydawał się tylko częściowo przytomny. Tau wstał i wyszedł na spotkanie Asakiego i Nymaniego. Okazało się, że poszukiwanie drzewa wodnego trzeba odłożyć na później.

VI

Wycofali się z pobojuwiska na skraju dżungli, odgradzając się pasem zieleni od zdradzieckiego zbocza. Minęło kilka godzin i zaczęło się zmierzchać. Wszystko wskazywało na to, że Asaki postanowił odszukać drzewo wodne. Wędrowali wąskim przesmykiem łądu między nieprzebytymi moczarami Mygra i stromą ścianą gór. Nymani wciąż jeszcze trząśł się ze strachu, toteż prowadzili go jak dziecko, dodając otuchy. Astronauci nie odważyli się przedzierać samotnie przez niezbadaną krainę. Żuli więc suche koncentraty i nie ośmielili się pić. Dan odczuwał nieodpartą pokusę, by wypić trochę płynu z manierki. Woda w zasięgu ręki, której nie wolno było pić, wywoływała pragnienie graniczące z torturą. A teraz, gdy oddalili się od gór i możliwość spotkania skały w kształcie palca była niewielka, strach przed zatrutą narkotykami wodą wydał się nie mieć znaczenia w porównaniu z krzykiem spragnionego ciała. Lecz przezorność, która drzemie w każdym Wolnym Kupcu, pozwoliła Danowi opanować pragnienie.

Jellico przesunął dłonią po wyschniętych wargach.

- Sądzę, że prawie wszyscy powinniśmy wypić bardzo dużo wody oprócz jednej, może dwóch osób, które nie powinny wypić ani kropli. Czy nie moglibyśmy radzić sobie w ten sposób, zanim nie przejdziemy gór?

- To ostateczność. Tymczasem poszukajmy innego rozwiązania, wszak nie możemy w żaden sposób sprawdzić, jak długo działa narkotyk. Szczerze mówiąc, nawet nie jestem pewien, czy w tych warunkach mógłbym zbadać działanie halucynacji w dłuższym czasie - Tau zniechęcił towarzyszy do podjęcia ryzykownej próby.

Trudno było zasnąć tej nocy, a jeśli komuś udało się zdrzemnąć, to na krótko, budził się natychmiast dręczony męczącym koszmarem. Wraz z nadchodzącą nocą wzmógł się niepokój wędrowców. Nieokreślony, przyczajony strach dręczył ich straszliwie. Z ciemności wypełzły ich własne skrywane lęki i dawały o sobie znać jeszcze o świcie. W dżungli zawsze rozbrzmiewają niesamowite odgłosy: krzyki niewidocznych ptaków, trzask drzewa, którego pień stoczony przez robactwo przełamał się i zwałił na ziemię. Ale nie krzyki ptaków ani trzask padającego drzewa rozległ się w ciemności. Jeżące włosy na głowie trąbienie i odgłos miazdzonej roślinności zwiastowały prawdziwe zagrożenie. Asaki spojrzął na północ i chociaż nie

zobaczył niczego oprócz niewzruszonej ściany dżungli, powiedział:

- Graz! To pędzi graz!

Nyman był zgodny ze swym przełożonym.

Jellico podniósł się gwałtownie. Widząc jego twarz, Dan zrozumiał powagę sytuacji. Astronauta wydał ostrą komendę swym podwładnym:

- Biegiem! Poruszamy się dwójkami! W góry? - Zwrócił wzrok na Naczelnego Strażnika.

Khatkanin wciąż nad słuchiwał odgłosów z dżungli - nie tylko uszami, ale całym swym napiętym ciałem. Ze ściany zieleń wyłoniły się nagle trzy stworzenia przypominające jelenie, które w zwykłych okolicznościach wędrowcy mogliby upolować i upiec nad ogniskiem. Teraz jednak przemknęły w popłochu, swym nie dostrzegając ludzi. Za nimi pojawił się lew, ale to nie on był myśliwym ścigającym zwierzęta podobne do jeleni, lecz sam uciekał przed potężniejszym wrogiem. Jego czarno-białe pręgi podkreślały uderzający dramatyzm tej sceny. Lew wyszczerzył straszliwe kły i jednym ogromnym susem dał nura w zarośla, znikając z pola widzenia. Pojawiło się jeszcze więcej jeleni, za którymi gnały inne mniejsze stworzenia pędzące zbyt szybko, by mogli je rozpoznać. Za nimi pędził na złamanie karku największy ssak na Khatce.

Zaczęli uciekać na zbocze, gdy rozległ się przeraźliwy krzyk Nymaniego. Odwrócił się i zobaczył ogromne, białe cielsko, trudne do rozpoznania w szarzejącym półmroku, które gnało za nimi. Danowi mignęły na moment zakrzywione kły, otwarta paszcza, długa, czerwona i wystarczająco szeroka, by połknąć jego głowę, oraz kudłate nogi poruszające się z niewiarygodną szybkością. Asaki wystrzelił z iglicznika. Białe potwór zaryczał i skierował się ku nim. Zanurkowali do ciasnej kryjówki pod skałami, gdy samiec zwał się na ziemię nie dalej niż dwa jardy od Naczelnego Strażnika. Jego masywne rozpedzone cielsko wstrząsnęło ziemią w chwili upadku.

- Trafiony! - Jellico strzelił z blastera, gdy drugi rozwścieczony samiec wybiegł z dżungli i pędził ku wędrowcom. Za nim wyłoniła się z gęstwiny trzecia głowa z potężnymi kłami - olbrzymie oczy wypatrywały wroga. Dan badał ostrożnie martwego samca, ale tym razem zwierzę nie powróciło do życia. To nie były halucynacje. Złośliwość małych skalnych, przebiegłość khatkańskiego lwa to pestka w porównaniu ze stadem rozwścieczonych grazów!

Drugi samiec zaskowyczał prawie jak pies, gdy Jellico trafił go z blastera w

olbrzymi łeb. Oślepiąca bestia szarżowała po omacku, próbując wspiąć się na stok. Trzeciego olbrzymia trafił z iglicznika Nymani. W tym momencie Asaki wyskoczył zza skały, gdzie schowali się przed szarżującym grazem, i wyciągnął kapitana na otwartą przestrzeń.

- Grazy nie powinny zepchnąć nas do narożnika! Jellico zgodził się.

- Ruszamy! - rozkazał Tau i Danowi.

Uciekali po dzikim górskim stoku, próbując wspiąć się na wzniesienie, ale natknęli się na stromą ścianę skalną, którą byłoby niełatwo sforsować. W dole zostały dwa grazy, jeden poważnie ranny, drugi martwy. Tymczasem z dżungli wyłoniło się więcej białych głów z ogromnymi kłami. Uciekinierzy nie wiedzieli, co sprawiło, że stado grazów gnało w popłochu przez dżunglę, traktując wszystko, co znalazło się na ich drodze. Teraz strach i gniew rozjuszonych zwierząt skupiły się na nich.

Jednak wbrew ich wysiłkom część stada pognała na pobojuwisko na skraju dżungli, gdzie leżało poharatane cielsko zabitego gaza, a potem ruszyły wzdłuż skalnej ściany. Gdyby mieli dość czasu, by wyszukać w szczelinach oparcie dla stóp i uchwyty dla rąk, mogliby wspiąć się po niemal pionowej ścianie, ale w panicznej ucieczce przed stadem rozwścieczonych grazów nie próbowali nawet ryzykownej wspinaczki. Biegli nad samą krawędzią. Przystanęli na chwilę, by wypalić do ścigających ich zwierząt, a potem uciekali co sił, kierując się na południe. Niebawem dotarli do szarżółtego bagniska usianego kępami rzadkiej roślinności, które prowadziły niby kamienie do splątanej ściany sitowia i trzcin.

- No, dobrze. - Tau rozejrzał się dookoła. – Co teraz zrobimy? Wzlecimy w przestrzeń? Ale skąd weźmiemy silnik i skrzydła?

Wydawało się, że grazy rozumiały, że zapędziły swoje ofiary w kozi róg, gdyż zaszarżowały bez wahania. Sapiąc i traktując wszystko pokrytymi sierścią nogami i miażdżąc skały potężnymi cielskami, torowały sobie drogę na wzniesienie. Mogło się wydawać, że bestie zaplanowały atak i świadomie zapędziły ich w pułapkę.

- Schodzimy! - zawołał Asaki i wymierzył z iglicznika w przywódcę ścigającego ich stada grazów.

- Będziemy skakać po kępach! - zarządził Nymani. - Pokażę wam, w jaki sposób!

Podał iglicznik kapitanowi Jellico, zsunął się z krawędzi i zawisł na rękach. Potem rozkołysał swoje ciało jak wahadło. Gdy wychylił się daleko w prawo, puścił się i wylądował na kępie trzcin. Khatkanin uklęknął, poderwał się i przeskoczył na

następną kępę.

- Teraz ty, Thorson! - Jellico skinął głową na Dana i młody astronauta schował miotacz do kabury, ześlizgnął się ostrożnie z krawędzi i przygotował do skoku.

Nie udało mu się jednak powtórzyć bezbłędnie wyczynu Nymaniego. Wychylił się za mało i zamiast upaść na kępę, ledwo dosięgnął brzegu zielonej wysepki rękoma. Jego ciało pograżyło się szybko w mazi, którą pokrywała tylko cienka skorupka wyschniętego błota. Obrzydliwa woń przyprawiła go o mdłości, lecz strach przed utonięciem w bagnisku wyzwolił w Danie konieczną siłę, by wydobyć się z grzęzawiska. Na wpół pograżony w mule mógł stać się łatwą zdobyczą bagiennego robactwa. W panice pochwycił łamliwe łodygi, kępki traw, które cięły ręce jak noże. Jednak rośliny utrzymywały jego ciężar, gdy wciągnął ciało na niepewną kępę i uratowały go przed utonięciem w zdradliwym grzęzawisku.

Powinien szybko przeskoczyć na następną kępę, by zrobić miejsce dla pozostałych, którzy prędko musieli pójść w jego ślady, by uciec przed rozwścieczonymi grazami.

Potyając się Dan ocenił odległość swym doświadczonym okiem i skoczył na kępę, którą właśnie opuścił Nymani. Khatkanin miał rację tylko w połowie, gdy obiecywał, że trafią na pewny grunt. Okazało się, że wylądowali na pływających wysepkach splecionej, schorzałej roślinności bagiennej, toteż musieli szybko przeskakiwać zygzakiem z kępy na kępę.

Słyszeli z tyłu łoskot i ryk rozjuszonych zwierząt. Dan balansował na trzeciej wysepce, by spojrzeć za siebie. Kącikiem oka dostrzegł błysk ognia wystrzelonego z blastera na wierzchołku skały, medyka Tau klęczącego na pierwszej kępie i graza, który pograżył się w błocie, ścigając uciekinierów. Znów usłyszał wystrzały z blastera i iglicznika równocześnie, a potem z krawędzi skały zsunął się kapitan Jellico, który rozkołysał się, by zeskoczyć na pierwszą kępę. Tau pomachał mu ręką i Dan przeskoczył szczęśliwie na następną zieloną wysepkę.

Resztę drogi przebył szybko, próbując skupić myśli na konieczności lądowania na pewnym gruncie. Lecz ostatni skok okazał się za krótki i Dan upadł na kolana pośrodku cuchnącej sadzawki. Obryzgany szarozółtą pianą poczuł, że wsysa go zdradliwe bezdenne grzęzawisko. Udało mu się jednak pochwycić mocną gałąź, która uderzyła go w ramię. Przy pomocy Nymaniego uwolnił się z grząskiej topieli. Drżąc z wyczerpania i strachu, odpoczywał z pobielaną twarzą. Tymczasem khatkański myśliwy skupił się, by pomóc kolejnemu uciekinierowi.

Medyk miał więcej szczęścia niż Dan. Okazał się bardziej zręczny i wylądował w bezpiecznym miejscu. Jednak dyszał ciężko, wyczerpany straszliwym wysiłkiem. Teraz obaj astronauta obserwowali skoki swego kapitana.

Kiedy Jellico wylądował bezpiecznie na drugiej kępie, zatrzymał się, przesunął odrobinę i wymierzył z iglicznika, który zostawił mu Nymani. W tej samej chwili olbrzymi samiec, który zaatakował na skale Asakiego, potrząsnął kudłatym łbem i spadł. Naczelnny Strażnik skręcił błyskawicznie w prawo, umykając grazowi i druga rozpędzona bestia runęła w dół, pograżając się w grzęzawisku. Kiedy Jellico znów wystrzelił, Asaki przewiesił iglicznik przez ramię i opuścił się ze skały, by skoczyć na pierwszą kępę.

Jeszcze jeden graz został ranny, lecz szczęśliwym trafem oślepiiony krwią zawrócił i zaszarżował na swoich pobratymców, spychając ich ze ścieżki. Jellico kontynuował już podróż po pewniejszym gruncie, a za nim, zaledwie o wysepkę z tyłu podążał Naczelnny Strażnik. Tau westchnął.

- Być może pewnego dnia, gdy będziemy opowiadali, co tutaj przeżywaliśmy, ktoś powie, że pleciemy duby smalone i uzna nas wszystkich za łgarzy - zauważył. - Tak będzie, jeśli przeżyjemy i opowiemy o tym wszystkim. Zatem, jaką teraz wybierzemy drogę? Gdyby wybór zależał ode mnie, ruszyłbym w górę!

Gdy Dan stanął wreszcie na pewniejszym gruncie i rozejrzał się wokół, zgodził się z medykem. Porośnięty rachityczną roślinnością bagienną teren tworzył trójkąt, którego wierzchołek skierowany był na wschód, w stronę bagien.

- Nie podadzą się tak łatwo, prawda? - Jellico spojrział na skałę wznoszącą się nad brzegiem bagniska.

Chociaż zraniony samiec tarasował drogę swym pobratymcom, coraz więcej grazów wybiegało z dżungli, gnając w tę i we w tę, rozdzierając pazurami i orząc kłami ziemię, odstrasząc każdego, kto próbowałby wrócić na wąską ścieżkę, którą patrolowały teraz rozwścieczone zwierzęta.

- One nie odejdą - odparł bezradnie Asaki. - Wystarczy rozjuszyć graza, a będzie ścigał człowieka całymi dniami. Zabijesz choć jedno zwierzę ze stada, a nie ma najmniejszej nadziei, by ujść cało na własnych nogach.

Wszystko wskazywało na to, że tylko moczary mogły odstraszyć pogoń. Dwie bestie, które zapadały się w bagnisku, zawodziły żałośnie. Zwierzęta zaprzestały walki i zgromadziły się na brzegu, w pobliżu tonących grazów, nawołując błagalnie. Asaki wycelował uważnie z iglicznika i wyzwolił pograżające się w błocie zwierzęta

od powolnej śmierci w bagnie. Ale huk wystrzałów spotęgował gniew rozjuszonych bestii na brzegu.

- Nie możemy wrócić - powiedział. - Przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Tau zabił czarnego czteroskrzydłego owada, który usiadł mu na ramieniu, by skosztować krwi człowieka.

- Musimy tutaj pozostać, dopóki grazy nie zapomną o nas! - wskazał na brzeg. - I to bez wody, gdyż nie możemy ufać, że jest czysta. Za to będziemy narażeni na ukąszenia rozmaitych bagiennych stworzeń gotowych wypróbować, jaki mamy smak.

Nymani zbadał ze swej wysepki moczary i zrelacjonował swoje odkrycie.

- Na wschodzie teren wznosi się. Być może uda się nam przebyć bagna po tej zielonej grobli.

Dan wątpił jednak, czy będzie jeszcze zdolny przeskakiwać z kępy na kępę. Wydało się, że Tau podziela jego gorzkie myśli.

- Nie sądzę, by udało się nam zniechęcić naszych przyjaciół na brzegu nawet setką wystrzałów! Asaki pokiwał twierdząco głową.

- Nie posiadamy odpowiedniej liczby ładunków, by wystrzelać całe stado. Grazy mogą zniknąć nam z oczu, ale będą czekały w zaroślach, a spotkanie z nimi oznacza pewną śmierć. Musimy pójść przez moczary.

Jeśli poprzedni marsz był dla Dana prawdziwą udręką, to droga przez bagnisko okazała się istną torturą. Każde stąpienie mogło zakończyć się śmiercią w grzęzawisku. Często przewracali się i już po kwadransie wszyscy byli oblepieni cuchnącym mułem i błotem, które wysychało na kamień na ich skórze. Mimo że zasychające błoto raniło boleśnie skórę, zarazem chroniło ją przed ukąszeniami owadów, od których aż roiło się na moczarach. Wbrew wszelkim wysiłkom wędrowców, którzy próbowali znaleźć wyjście, jedyna ścieżka wiodła w głąb niezbadanego grzęzawiska. W końcu Asaki zarządził postój i zaczął rozważać odwrót. Ale okazało się, że zabrnęli już tak daleko, że z wielkim trudem umiejscowili wysepkę, z której mogli zobaczyć brzeg.

- Musimy zdobyć wodę! - głos Tau przypominał chrapliwe krakanie, które wydobyło się spod maski zielonego błota ozdobionej girlandami zielska.

- Grunt wznosi się! - Asaki plasnął kolbą iglicznika w skorupę błota, po której stapał. - Przypuszczam, że wkrótce wyjdziemy za suchy ląd.

Jellico wspiął się na młode drzewko, które złamało się pod jego ciężarem.

Badał przez lornetkę drogę przed nimi.

- Masz rację! - zawołał do Naczelnego Strażnika. - Z prawej strony widać pas zieleni, około pół mili stąd. I... - spojrzął na zachodzące słońce - jeszcze przez godzinę będziemy mogli iść, zanim zaczną zmierzchać. Nie chciałbym spędzić tutaj nocy.

Obietnica zielonej krainy tchnęła w znużonych wędrowców nowe siły, zmuszając ich do końcowego wysiłku. Dalej przeskakiwali z kępy na kępę, by jak najszybciej dotrzeć do zbawczego brzegu. Tym razem nieśli pęki zielska, które pomagały im wydobyć się z opresji, gdy źle obliczyli skok, lądując w grząskim błocie. Kiedy Dan wygramolił się po niezbyt udanym skoku na pewniejszy grunt i uklęknął, był skrajnie wyczerpany. Nawet nie drgnął, kiedy rozległ się pełen podniecenia krzyk Nymaniego, który powtórzył jak echo Asaki. Ale kiedy Naczelnny Strażnik pochylił się nad nim z otwartą manierką w ręku, Dan uniósł głowę.

- Wypij! - nalegał Khatkanin. - Znaleźliśmy drzewo wodne. To świeża woda!

Woda mogła być świeża, miała jednak szczególny posmak. Dan pił łapczywie. W tej chwili ważne było jedynie to, że trzyma w ręku naczynie, z którego może pić tyle wody, ile dusza zapagnie. Bagienna zieleń ustąpiła teraz miejsca bogatej szacie roślinnej, jaka występuje w dżungli. Zastanawiał się tępo, czy przebyli już moczary, czy też trafili na dużą wyspę pośrodku krainy cuchnących bagien? Napił się znów z manierki i odzyskał na tyle siły, by doczołgać się do miejsca, gdzie odpoczywali jego towarzysze. Musiało upłynąć trochę czasu, by zainteresowało go coś więcej niż możliwość ugaszenia pragnienia. Potem zauważył kapitana Jellico, który słańiał się na nogach, obserwując coś na wschodzie. Tau usiadł, także zaniepokojony, jakby obudził go brzęczyk alarmu na „Królowej”.

Khatkanie gdzieś zniknęli. Być może wrócili pod drzewo wodne. Trzej astronauta usłyszeli wyraźnie dalekie rytmiczne dudnienie. Jellico spojrzął na Tau.

- Bębny?

- Możliwe. - Medyk zakręcił manierkę. - Powiedziałbym, że mamy towarzystwo. Chciałbym jednak wiedzieć, jakiego rodzaju.

Mogli się mylić twierdząc, że słyszą bębny, ale bez wątpienia usłyszeli huk gromu, który uderzył w pobliskie drzewo, rozłupując pień jak ostrze noża wchodzące w masło. Rozpoznali blaster - szczególny typ blastera!

- Patrol! - Tau leżał płasko wciskając się w ziemię, jakby pragnął wtopić się w grząskie podłoże.

Jellico prześlizgnął się do krzaków, skąd dobiegł go cichy głos Asakiego. Poszli w ślady kapitana zmuszeni do udawania robaków. W kryjówce Naczelny Strażnik czyścił z błota iglicznik.

- Tu jest obóz kłusowników - wyjaśnił cicho. - Oni wiedzą o nas.

- Wspaniałe zakończenie tego parszywego dnia - zauważył beznamiętnie Tau.

- Mogliśmy przypuszczać, że czeka nas właśnie coś takiego!

Próbował zetrzeć wyschniętą glinę z policzka.

- Czy kłusownicy używają bębnow?

Naczelny Strażnik nachmurzył się.

- Dlatego właśnie Nymani poszedł na zwiady.

VII

Gdy czekali na powrót Nymaniego, zapadł zmierzch. Atak z blastera nie powtórzył się już. Być może kłusownikom chodziło jedynie o to, by wędrowcy nie odważyli się ruszyć ze swego obozowiska. Nad rozległymi moczarami unosiły się upiorne fosforyzujące obłoczki, w których światło wędrowcy mogli zobaczyć jasne chmury owadów z wbudowanym w chitynowe ciało własnym systemem świetlnym, błyskające lub iskrzące się niby latający fajerwerk albo żeglujące w równych rzędach. Nocą to cudowne miejsce różniło się zaskakująco od odstręczającego bagniska, w którym taplali się w dzień. Czuwali żując koncentraty i popijając świeżą wodę, gotowi podnieść alarm na każdy podejrzanym odgłos.

Monotonne dudnienie bębnow przypominało teraz basowe buczenie, które wtórowało odgłosom nocy, zagłuszane pluskiem, pomrukiem czy krzykiem jakiegoś bagiennego stworzenia. Siedzący obok Dana kapitan Jellico zeszywniał nagle i sięgnął po blaster, kiedy usłyszeli że ktoś pełźnie w zaroślach, wywodząc raz po raz łagodne trele.

- Astronauci - Nymani relacjonował Asakiemu - i wyjęci spod prawa.

Odprawiają śpiewy przed jutrzejszym polowaniem.

- Wyjęci spod prawa? - Asaki podparł się.

- Nie mają żadnych odznak uprawniających do polowania. Widziałem jednak, że każdy nosi bransoletę z trzech, pięciu, a nawet dziesięciu ogonów. To naprawdę znakomici tropiciele i myśliwi.

- Czy mieszkają w szałasach z kobietami?

- Nie ma wśród nich lokatorek podziemnych pałaców. - Tak Nymani uprzejmie określał kobiety swej rasy. - Powiedziałbym, że kłusownicy mieszkają gdzieś indziej, a tutaj jedynie polują. Na butach jednego z nich zauważyłem osad soli.

- Osad soli? - Asaki klasnął w dłonie i prawie wstał. - Zatem używają soli jako przynęty. Niedaleko stąd musi być solanka, z której niedawno...

- Ilu widziałeś obcych? - przerwał Jellico.

- Trzech myśliwych i jeszcze jednego obcego, który wyróżnia się spośród tamtych.

- Jak bardzo? - zapytał Asaki.

- Człowiek ten nosi dziwne szaty, a na głowie ma okrągły hełm, taki jaki noszą

astronauci...

- Zatem to astronauta!

- Dlaczego nie? - Asaki roześmiał się nieprzyjemnie. - Przecież przemytnicy muszą w jakiś sposób wywozić skóry z Khatki.

- Nie próbuj mi wmówić - wtrącił Jellico - że znalazłby się śmiełek, który zaryzykowałby lądowanie statku kosmicznego w tym błocie. Przecież utopiłby statek na zawsze w bezdennym bagnisku.

- Jednak, kapitanie, przecież i Wolnemu Kupcowi wystarczy nędzny skrawek ziemi, by wylądować bezpiecznie. Czyż sam nie lądował pan nieraz na planetach, gdzie nie ma tak wspaniale oznakowanych lądowisk jak to, które Konsorcjum utrzymuje na Xecho?

- Oczywiście, że tak. Ale przecież pilot potrzebuje odpowiednio gładkiego pasma ziemi lub po prostu odrobiny otwartej przestrzeni, by płomień z silnika raketowego nie wzniecił pożaru lasu. Nigdy nie uda się wylądować na moczarach.

- Jednak znakomity, świetnie wyszkolony pilot znalazłby i tu skrawek ziemi, na którym wylądowałby bez trudu - sprzeciwił się Asaki. - Zresztą sami wylądowaliśmy na nie sprzyjającym terenie.

- Oni wiedzą, że jesteśmy tutaj - przypomniał Tau.

- Przybyszu z gwiazd - wybuchnął śmiechem Nymani - nigdzie nie wyśledzisz tak dobrze zamaskowanego szlaku, którego nie odkryłby strażnik rezerwatu czy myśliwy. Zawsze znajdzie się dwóch lub pięciu starych wyjadaczy, którzy wprowadzą w błąd nawet najlepszego funkcjonariusza służby leśnej, choćby zagiął na nich parol!

Rozmowa znużyła Dana. Siedział w ciemności, tuż nad brzegiem moczarów i obserwował upiorne plamy światła, które rozbłyskiwały w przelocie nad bagiennymi roślinami. W pewnej chwili świetliste wstęgi splotły się w człękkształtną plamę jarzącą się w powietrzu kilka jardów nad moczarami. Z początku mgliste zarysy przybrały bardziej konkretny kontur prawie ludzkiej sylwetki. Dan nie mógł oderwać oczu od niesamowitego zjawiska, które zachodziło w nocnym mroku. Najpierw wydało mu się, że z plamy światła wyłoniła się mała skalna. Nie dostrzegł jednak ani spiczastych uszu sterczących nad okrągłą czaszką, ani świńskiego ryja, choć postać zwróciła się ku niemu profilem.

Zjawa przyciągała coraz więcej świetlistych smug. Potem zaczęła chwiejnie iść. Ale to błyszczące stworzenie, które stąpało niepewnie po powierzchni moczarów, nie było zwierzęciem, lecz człowiekiem albo przypominało z pozoru człowieka -

małego chudego człowieczka, którego Dan widział już w górskiej twierdzy Naczelnego Strażnika.

Dziwna postać znieruchomiła nagle, rozjarzona głowa kołysała się jakby zawieszona na widocznym w ciemności obrysie uszu.

- Lumbrilo! - Dan rozpoznał straszdyło, choć wiedział, że czarownik nie mógł ukryć się w świecącej postaci stąpającej po powierzchni moczarów Mygra. Głowa widziadła obróciła się na jego krzyk. Zobaczył, że nie ma oczu ani ust, ani nosa na białej pozbawionej rysów twarzy. Na swój sposób ta pusta gładka twarz czyniła potwora jeszcze bardziej przerażającym, utwierdzając Dana w przekonaniu, wbrew wszelkiej logice, że ta niesamowita istota szpiegowała ich.

- Demon! - wykrzyknął śmiertelnie przerażony Nymani.

Lęk udzielił się wędrowcom, którzy przestali wierzyć we własne siły, widząc kroczonego po bagnisku upiora.

- Co tam stoi, medyku? Powiedz nam! - Asaki zażądał jasnej odpowiedzi.

- Chcą nas wypłoszyć z kryjówki, sir. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Skoro szpiegował ich Nymani, oni śledzili nas w rewanżu. A to jest, jak myślę, odpowiedź na drugie pytanie. Jeśli na Khatce działają zgubne siły, to dzieje się to za sprawą Lumbrilo.

- Nymani! - głos Naczelnego Strażnika zabrzmiał jak uderzenie bicia. - Czy zapomnisz znów, że jesteś mężczyzną i pobiegiesz na oślep krzycząc wniebogłosy, by szukać kryjówki przed plamą światła? Jest tak, jak powiada ten medyk. To Lumbrilo próbuje przywieść nas do tego, byśmy sami oddali się w ręce naszych wrogów.

Na bagnach znów poruszyło się złowrogie widziadło. Stąpiło swobodnie po powierzchni, która nie mogłaby unieść ciężaru ludzkiego ciała, krocząc z wolna ku zarośłom, gdzie ukryli się uciekinierzy.

- Czy możesz odpędzić to straszdyło? - zapytał Jellico swym lekko schrypniętym głosem. Prawdopodobnie rozmawiali już o podobnych sprawach na pokładzie „Królowej Słońca”.

- Musiałbym uderzyć w źródło, które wywołało zjawę - w głosie Tau zabrzmiała groźna nuta. - I zrobię to, gdy rozejrzę się po obozowisku kłusowników.

- No, cóż! - Asaki wpełzł z powrotem w krzaki.

Upiór dotarł do wysepki, na której się ukrywali, i zwrócił swoją białą, świecąca w ciemności głowę ku ludziom. Kiedy minął pierwszy strach, astronauta

zrozumieli, że ściga ich fantom małpy skalnej, którego nie umieli odpędzić.

- Jeśli to straszycie wysłano po to, by wypłoszyć nas z kryjówki - przypuścił Dan - nasi wrogowie oczekują, że po jej opuszczeniu poddamy się ich woli?

- Sądzę, że tak. - Naczelnny Strażnik wciąż czołgał się w lewo. - Nie spodziewają się, że tak chłodno podchodzimy do tej sprawy. Myślą raczej, że popędzimy na oślep gnani strachem. Wszak nie trzeba wielkiej siły, by pokonać ludzi uciekających w panice. Jednak tym razem Lumbrilo przeliczył się. Nie udało mu się wygrać tej chytrej sztuczki ze skalną małpą, toteż zaatakuje nas teraz, posyłając do walki jej fantom.

Chociaż białe widziadło wstąpiło na stały ląd, nie zmieniło kierunku. Czymkolwiek było to straszycie, nie posiadało rozumu.

Dobiegł ich szelest, słaby, ale rozpoznawalny. Po chwili Dan usłyszał szept Nymaniego:

- Zwiadowca, który obserwował szlak, odszedł. Nie musimy obawiać się, że podniesie alarm. Zresztą mamy jeszcze jeden blaster.

W miarę jak oddalali się od moczarów, pogłębił się mrok. Dan posuwał się w nieprzeniknionej ciemności, kierując się hałasem, który czynili mniej doświadczeni zwiadowcy - Jellico i Tau. Brnęli wśród trzciny i błota, przechodząc w bród małą płytką sadzawkę. Khatkanie szli środkiem błotnistego stawu.

Bicie w bęben rozbrzmiewało coraz głośniej. Zobaczyli poświatę w ciemności - czyżby blask ogniska? Dan podczołgał się do przodu i wreszcie dotarł do miejsca, skąd mógł rozejrzeć się po obozie kłusowników.

Ujrzał trzy szałas o dachach z gałęzi i liści. W dwóch z nich znajdowały się plastikowe paki gotowe do załadunku na statek. Przed trzecim szałasem rozłożyło się czterech obcych. Nymani nie mylił się. Jeden z nich miał na sobie uniform astronauty. Po prawej stronie przy ognisku ujrzał krąg tubylców i stojącego osobno mężczyznę, który bił w bęben. Nie dostrzegł jednak nigdzie śladu czarownika. I nawet Dan - przypominając sobie upiorną postać z moczarów - zadrzał z lęku. Mógł uwierzyć w słowa Tau, który wyjaśnił, że halucynacje na zboczu góry wywołał narkotyk, ale w jaki sposób ta fosforyzująca istota ze światła została wysłana przez czarownika z odległego miejsca, by rozprawić się z jego wrogami, to prawdziwa zagadka, którą mógł wytłumaczyć tylko działaniem sił nadprzyrodzonych.

- Nie ma tutaj Lumbrilo! - myśli Nymaniego musiały dążyć podobnym torem.

Dan usłyszał, że ktoś zbliża się w ciemności.

- W trzecim szalasię znajduje się interkom - zauważył Tau.

- Widzę - odparł Jellico. - Czy mógłbyś skomunikować się przez to urządzenie z twoimi ludźmi w górach, sir?

- Nie wiem. Ale jeśli nie ma Lumbrilo tutaj, w jaki sposób potrafił zmusić swoje wyobrażenie do nocnego spaceru po bagnach? - Naczelnny Strażnik niecierpliwie domagał się wyjaśnień.

- Przekonamy się o tym wkrótce! Jeśli nawet go nie ma w obozie, przybędzie!

- W głosie Tau brzmiała nuta pewności. - Musimy najpierw obezwładnić tych obcych. A ponieważ widmo miało nas wypłoszyć, zapewne czekają w pogotowiu, aż się pojawimy.

- Jeśli wystawili warty, uciszę wartowników - obiecał Nymani.

- Czy masz jakiś plan? - W świetle ogniska ukazały się na moment barczyste ramiona i głowa Asakiego.

- Chcesz Lumbrilo? - odrzekł Tau. - Świetnie! Wydam go w twoje ręce skompromitowanego w oczach Khatkan, ale nie w oczach obcych, gdyż jego magia zasługuje na podziw.

Plan nie będzie łatwy do zrealizowania - zdecydował Dan. Kłusownicy byli uzbrojeni w blastery najnowszej typu, które należą do wyposażenia policjantów z Patrołu. Dan zastanawiał się, jaki oddźwięk spowoduje ta informacja w kręgach rządowych. Przecież Wolni Kupcy i policjanci z Patrołu nie tak często brali udział w akcjach na rubieżach galaktyki, stając oko w oko z wrogiem. A jednak przestępcy posiadali najnowszą broń, zastrzeżoną dla policjantów kosmicznych. Niedawno załoga „Królowej Słońca” brała udział w potyczce z przemytnikami. Astronauci zrozumieli, że obcy odgrywa ważną rolę w całym przedsięwzięciu. Gdyby doszło do starcia pomiędzy praworządymi Khatkanami i wyjętymi spod prawa, Wolni Kupcy będą walczyć u boku Patrołu.

- Dlaczego nie pozwolić im na wywiezienie łupów? - pytał Jellico. - Najpierw sprawili, że uciekliśmy w panice z obozu. Potem nastąpił atak ze strony upiora. Przypuszczali, że uciekniemy w popłochu na jego widok. Ale po tym jak Nymani wywiódł w pole wartowników, stali się bardziej czujni. Chciałbym dostać się do interkomu!

- Nie obawiasz się, że pobiją nas na głowę?

- Zadałeś cios dumie Lumbrilo. On nie poprzestanie na tym, by spalić cię promieniami blastera - kapitan odpowiedział medykowi. - Nie, jeśli sędzić według

jego charakteru. Raczej potraktują nas jako zakładników, szczególnie Naczelnego Strażnika. Gdyby chcieli nas zabić, powystrzelaliby nas jak kaczkę na bagiennych kępach. I nie nasyłaliby upiórów i goblinów.

- Twoje słowa brzmią rozsądnie. To prawda, że moja osoba stanowi łakomy kąsek dla tych zbrodniarzy wyjętych spod prawa - skomentował Asaki. - Pochodzę z Magawaya, gdzie zawsze kładliśmy nacisk na zabezpieczenie zwierzyny przed kłusownikami. Ale nie mam pojęcia, w jaki sposób możemy zdobyć obozowisko.

- Nie zaatakujemy od czoła, jak się spodziewają, ale zrobimy to z północy, nacierając najpierw na obcych... Trzech z nas skupi na sobie siły wroga, by odwrócić uwagę od działań dwóch pozostałych...

- Zatem?

Kiedy Naczelnny Strażnik rozważał szansę powodzenia ataku na obóz kłusowników, panowała śmiertelna cisza. Potem dorzucił kilka własnych uwag:

- Obcy w stroju astronauty nie naładował miotacza, choć pozostali trzymają broń w pogotowiu. Ale wierzę, że masz rację sądząc, że niezbyt ufają wartownikom. Przypuśćmy więc, kapitanie, że ty i ja zagramy opętanych strachem szaleńców uciekających przed demonami. Będzie nas osłaniał w ciemności Nymani wraz z dwójką twoich ludzi...

- Pozostaw mi szansę na prawdziwy łup, sir - powiedział Tau. - Wierzę, że uda mi się go zdobyć. Dan, ty weźmiesz bęben.

- Bęben? - przestraszyło go to, że wyznaczono mu rolę twórcy hałasu.

- Musisz zdobyć ten bęben we własnym interesie. A kiedy będziesz już miał instrument, chcę, żebyś wybijał „Wracając na Terrę”. Na pewno potrafisz to zagrać, prawda?

- Nie rozumiem... - zaczął Dan, ale zaniechał protestu domyślając się, że Tau nie zamierza wyjaśniać, dlaczego musi koniecznie zagrać na moczarach oklepny przebój astronautów. Jako Wolny Kupiec wykonywał nieraz przeróżne dziwne zadania w ciągu kilku ostatnich lat, ale pierwszy raz w życiu rozkazano mu, ażeby był muzykiem.

Czekali teraz na powrót Nymaniego przez długie, ciągnące się minuty. Kłusownicy zapewne wypatrywali ich w ciemności. Dan trzymał w ręku miotacz i mierzył do bębniasty.

- Zrobione - z ciemności dobiegł szept Nymaniego.

Jellico i Naczelnny Strażnik przesunęli się w lewo. Tau przeczołgał się w

prawo. Dan po chwili znalazł się obok niego.

- Kiedy się ruszą - szepnął Tau - skacz po bęben! Nie obchodzi mnie to, w jaki sposób go zdobędziesz, ale musisz go zdobyć i zatrzymać!

- Tak jest, sir!

Na północy rozległo się nagle żalosne zawodzenie, skowyt przerażenia. Pieśniarze umilkli w pół nuty, bębniata przestał wybijać rytm. Jego ręka zastygła nad bębniem. Dan rzucił się błyskawicznie w przód wprost na bębniatę. Zbity z nóg Khatkanin nie miał czasu, by podnieść się z klęczek, gdy płomień z miotacza trafił go w głowę, aż zwinął się w kłębek. Potem astronauta pochwycił bęben, przycisnął do piersi, wciąż mierząc z miotacza do przerażonych tubylców.

Huk wystrzału z blastera, przeraźliwy jęk igliczników w akcji, podniosły wrzawę na drugim krańcu obozowiska. Wycofując się nieco, Dan uklęknął na jedno kolano, trzymając broń w pogotowiu na wypadek, gdyby zaatakowali go tubylcy i postawił bęben przed sobą. Utrzymując przez cały czas miotacz gotowy do strzału, zaczął wybijać rytm drugą ręką. W odróżnieniu od Khatkanina uderzał mocno i zdecydowanie, by odgłosy walki nie zagłuszyły bębnienia. Tak jak polecił mu Tau, wybijał niezapomniany rytm „Wracając na Terrę” coraz donośniej - aż znajome *da - dah - da - da* rozbrzmiewało wystarczająco głośno, by obudzić całe obozowisko.

Tubylcy wpatrywali się weń z szeroko rozdziawionymi ustami, a białka ich oczu połyskiwały w ciemności. Jak zwykle pod wpływem nieoczekiwanego zdarzenia, stracili czujność. Dan nie ośmielił się oderwać od zgrupowania tubylców, by sprawdzić, jak potoczyła się walka na drugim krańcu obozowiska. Ale zauważył, że Tau ma przewagę.

Medyk wstąpił w blask ognia. Wcale jednak nie poruszał się swym zwykłym swobodnym krokiem astronauty-obejźwiata, ale drobił stopami jak w tańcu, śpiewając do wtóru bębna, by zahipnotyzować słuchaczy w taki sposób, jak uczynił to Lumbrilo na górnym tarasie zamku. Tau zawładnął duszami tubylców, jakby zwabił je w niewidzialne sidła. Dan odłożył broń i zaczął wybijać trochę cichszy rytm również palcami prawej ręki.

Da - dah - da - da... Niewinny, powtarzający się refren oryginalnej pieśni, którą nucił tyle razy, że w końcu przestała cokolwiek znaczyć. Na swój sposób także Dan zrozumiał pogroźkę ukrytą w nowych słowach starego przeboju, które wyśpiewywał Tau.

Medyk zatoczył krąg dwukrotnie. Przestał tańczyć. Odpiął nóż od pasa

stojącego obok Khatkanina i podniósł go, wskazując ostrzem w ciemność w kierunku wschodnim. Dan nie mógł uwierzyć, że medyk nie przeciwiczył wcześniej walki, którą odgrywał na oczach zahipnotyzowanych tubylców, choć jego przeciwnik nie pojawił się w tańczącym blasku płomieni, w którym Tau toczył teraz pojedynek na noże, atakując i zwodząc przeciwnika, uchylając się od ciosu i nacierając znów - przez cały czas dostosowując się do rytmu, który Dan wybijał niezupełnie świadomie na bębnie. Kiedy tak walczył z niewidzialnym przeciwnikiem, nietrudno było wyobrazić sobie pojedynek z prawdziwym wrogiem. Więc gdy Tau z nienawiścią dźgnął nożem niewidzialną istotę, walka zakończyła się. Dan wpatrywał się niemądrze w ziemię, jakby spodziewał się, że ujrzy leżące ciało. Raz jeszcze Tau zasalutował dwornie z obnażonym sztyletem w rękę. Potem położył go na ziemi i stanął w rozkroku nad błyszczącym ostrzem.

- Lumbrilo! - Jego donośny głos wzniósł się ponad dudnienie bębnów. -
Lumbrilo! Czekam!

VIII

Niezupełnie świadomy, że krzyk na drugim końcu obozu ucichł, Dan słabiej uderzał w bęben. Pochylony nad bębniem widział wyjętych spod prawa Khatkan; kołysali rytmicznie głowami wsłuchani w uderzenia jego palców w skórę bębna. On również czuł napięcie w głosie Tau. Zastanawiał się, jaka będzie odpowiedź Lumbrilo. Czy przyśle to upiorne stworzenie, które przyprowadziło ich tutaj? Może pojawi się w ludzkiej postaci?

Dan zauważył, że czerwony blask ognia przygasł. Nie pojawiły się jednak, jak zwykle bywa, małe płomyczki, które zwijają się i pełzają wokół syczących polan. Czuł gorzki zapach spalenizny. W jakim stopniu niewidzialny gość był rzeczywisty, a w jakiej części stanowił wytwór wyobraźni? Nie potrafił później powiedzieć, jak było naprawdę. Tak naprawdę wcale nie jest pewne, czy wszyscy świadkowie widzieli to samo. Czy każdy człowiek, Khatkanin lub obcy, mógł widzieć tylko to, co podyktowały mu jego własne wspomnienia i skrywane lęki?

Coś niesamowitego nadleciało ze wschodu, coś jeszcze mniej rzeczywistego niż stworzenie zrodzone z oparów nad moczarami. Pojawiło się raczej jako niewidoczne zagrożenie dla ognia i tego wszystkiego, co ogień znaczy dla ludzkich istot - bezpieczeństwa, braterstwa, skutecznej broni przeciwko odwiecznym, niebezpiecznym siłom nocy. Czy wywołali ten koszmar jedynie w swej wyobraźni? Może to Lumbrilo posiadał moc, która pozwalała nadać taki kształt jego nienawiści?

Niewidzialna fala była zimna; odbierała siły, kasała mózg, obciążała niewidocznym ciężarem ręce i stopy, osłabiała je. Siła zła próbowała zmiękczyć człowieka jak glinę, którą ktoś inny mógłby formować, jak tylko zechce. Nicość, ciemność - wszystko to, co było wrogiem życiu, ciepłu, rzeczywistości - powstało przeciwko nim* Jednak Tau wciąż stał naprzeciwko tej niewidzialnej fali z podniesioną głową, a pomiędzy jego stopami połyskiwał nóż świecący jasnym blaskiem.

- Ach... - głos Tau załamywał się jakby przenicowując groźną falę nadciągającą z ciemności. Potem medyk znów śpiewał; kadencja nieznanych słów rozbrzmiewała nieco wyżej niż głuche bębnienie.

Dan zmusił nagle ciężkie ręce do bicia w bęben wbrew niewidzialnej mocy, która odbierała ludziom siły i czyniła bezwolnymi istotami.

- Lumbrilo! Ja, Tau, przybysz z innego świata, żyjący pod innym słońcem, pod innym niebem, przyzywam cię, byś przybył i walczył ze mną! - W żądaniu medyka pojawiła się ostrzejsza nuta. Wezwanie zabrzmiało teraz jak rozkaz.

W odpowiedzi nadciągnęła kolejna fala odmowy - jeszcze potężniejsza, narastająca jak wielkie oceaniczne fale przyływu wdzierające się na plażę. Tym razem Dan dostrzegł ciemną masę. Zdołał oderwać oczy, zanim ucieleśniła się, i skupił się na wybijaniu palcami rytmu na bębnie, nie dowierzając, że oto podniósł się młot czarnej potęgi, by zniszczyć ich wszystkich. Przypomnił sobie, że Tau opisywał takie zdarzenia, które działy się w zamierzchłej przeszłości, mówił o tym na swoim pokładzie „Królowej”, gdzie była to tylko groźna opowieść, nic więcej. Tutaj zagrażało im straszliwe niebezpieczeństwo, gdyż rozpętało się prawdziwe zło. Jednak medyk stał niewzruszenie, kiedy fala zła uderzyła weń całą swoją siłą. Wtedy nadszedł władca zła panujący nad mrocznymi siłami. To nie był duch zrodzony z bagiennych oparów, ale człowiek idący spokojnym krokiem. Jego ręce były puste tak jak ręce medyka Tau i dzierżyły broń, której nikt nie mógł zobaczyć.

Posępna fala zła cofała się. Ludzie zawodzili w blasku płomieni, leżąc twarzami do ziemi i bijąc bezsilnie rękami z przerażenia. Gdy z ciemności wyłonił się Lumbrilo, jeden z tubylców podniósł się na czworaki i zaczął się posuwać do przodu w strasznych konwulsjach, które wstrząsały jego ciałem. Opętany czołgał się w kierunku Tau, jego głowa opadała na piersi jak głowa zabitej małpy skalnej wskrzeszonej niszczycielską myślą. Dan, zauważywszy niebezpieczeństwo zagrażające medykowi, wybijał dalej rytm jedną ręką, drugą sięgając po miotacz. Próbował krzykiem ostrzec medyka, ale okazało się, że nie może wydać głosu.

Tau uniósł rękę i zatoczył krąg.

Pełzający na czworakach człowiek z tak mocno wybałuszonymi oczami, że tylko białka połyskiwały martwym odbłaskiem w nikłym świetle ogniska, podążył za gestem jego ręki. Zrównał się z medykiem, minął go i parł w kierunku Lumbrilo, skowycząc jak pies, który nie okazując posłuszeństwa swemu panu, wyje wbrew jego woli podczas księżycowej nocy.

- Więc będziemy walczyć - rzekł Tau. - To bój między nami. A może nie ośmielisz się wystąpić przeciwko mnie? Czy Lumbrilo jest tak słaby, że musi wysyłać kogoś innego, by spełnił jego wolę? Czy sam jest za słaby?

Medyk uniósł znów rękę, a potem opuszczał je coraz niżej, aż dotknął ziemi. Kiedy wyprostował się, trzymał w ręku nóż, który rzucił za siebie.

Dym ogniska zwinął się nagle w długi język, oplótl postać Lumbrilo i rozwiął się. Tam, gdzie przed chwilą był człowiek, stała teraz czarno-biała bestia, bijąc wściekle czubatym ogonem. Jej rozdziawiony pysk ział nienawiścią i żądzą krwi.

Tau powitał tę przemianę wybuchem śmiechu, który przeszył powietrze jak smagnięcie batem.

- Obaj jesteście ludźmi, ty i ja. Wystąp przeciwko mnie w ludzkiej postaci, a swoje nędzne sztuczki zachowaj dla tych, którym wzrok się mąci. Dziecko bawi się jak to dziecko, więc... - głos Tau przetoczył się jak grom, ale sam medyk zniknął. Na jego miejscu pojawiła się olbrzymia kosmata bestia i zwróciła swoje goryle oblicze ku wrogowi. Przez krótką chwilę ziemską małpa stała naprzeciw khatkańskiego lwa. Potem astronauta powrócił do swej zwykłej postaci. - Czas zabawy minął, człowieku z Khatki. Zapolowałeś na nas, by zabić, prawda? Dlatego teraz śmierć będzie udziałem pokonanego.

Lew zniknął, a na jego miejscu stał człowiek, przypatrując się z niepokojem przeciwnikowi. Obaj stali naprzeciwko siebie jak szermierze mierzący się wzrokiem przed krwawą walką. Danowi zdawało się, że Khatkanin nie wykonał żadnego ruchu. Jednak płomienie ogniska wystrzeliły wysoko, jakby dorzucono drew i wybuchnęły we wszystkie strony, wzbijając się jak niebezpieczne czerwone ptaki i parząc Tau. Kiedy podeptał je, utworzyły łuk nad jego głową. Łączyły się i splatały tak prędko, że ich blask oślepił Dana. Potem młody astronauta zobaczył, że Tau stoi w gorejącym kręgu. Podniósł obolałą od bębnienia rękę, by zasłonić oczy przed straszliwym blaskiem, który bił od ognistego słupa.

Lumbrilo śpiewał - walczył na słowa. Dan zeszywniał - jego ręce zaczęły wybijać rytm tej obcej pieśni. Natychmiast uniósł je w górę, a potem opuścił uderzając w bęben głośno i nierytmicznie, bez związku zarówno z przebojem, który wygrywał zgodnie z poleceniem Tau, jak i z magiczną pieśnią Lumbrilo.

Tam - tam - tam... - szaleńczo wybijał Dan, uderzając w bęben z całej siły, jak gdyby chciał zatopić pięści w ciele khatkańskiego czarownika.

Ognisty słup chwiał się, iskrząc przy lada podmuchu wiatru - i rozwiął się nagle. Tau - nie zadraśnięty - uśmiechnął się.

- Ogień! - Wskazał palcem na Lumbrilo. - Czy chciałbyś wypróbować moc innych żywiołów: ziemi, wody, a także powietrza, czarownika? Przywołaj tutaj wichur, wzburz powódź, nakaz ziemi, by się zatrzęsła. Żaden z tych żywiołów nie pokona mnie w walce!

Z ciemności wyłoniły się naraz jakiś niesamowite kształty - na wpół potwory, na wpół ludzie - przepłynęły obok Lumbrilo, gromadząc się w kręgu płomieni. Danowi wydawało się, że zna niektórych upiornych gości. Inni byli obcy. Mężczyźni nosili mundury astronautów lub szaty mieszkańców innych planet. Kobiety spacerowały, płakały, zadawały się z potworami, wybuchały śmiechem, złorzeczyły i krzyczały z przerażenia. Odgadł, że Lumbrilo wysłał do walki z Terraninem plon własnej pamięci medyka. Zamknął oczy, broniąc się także przed intruzami z przeszłości, ale zdążył jeszcze zobaczyć kącikiem oka napiętą twarz Tau - szczupłą, o kształtnych kościach policzkowych - na której wykwitał uśmiech, gdy przypomniał sobie znajome postaci z ognistego kręgu, jakby godził się z bólem wspomnień.

- I tą bronią nie zwyciężysz mnie, człowieku wędrujący w ciemności!

Dan otworzył oczy. Stłoczone widma z przeszłości rozwijały się, tracąc z wolna kontury. Lumbrilo przyczał się gotując do skoku. Przygryzł wargi, na jego twarzy malowała się nienawiść.

- Nie jestem gliną, którą mogą formować twoje ręce! A teraz powiadam, że nadszedł czas ostatecznego rozstrzygnięcia...

Tau wznosił raz jeszcze ręce, rozpostarł szeroko, opuszczając dłonie w kierunku ziemi. Wtem tuż za nim pojawiły się dwa czarne cienie na powierzchni ziemi.

- Skrępowaleś się swymi własnymi więzami. Tak jak byłeś myśliwym, tak teraz staniesz się upolowaną zwierzyną.

Cienie rosły jak niesamowite czarne rośliny, które wykiełkowały z ubitej gleby na terenie obozowiska. Kiedy ręce medyka znalazły się na wysokości jego ramion, Tau znieruchomiał. Teraz u drugiego boku medyka przyczał się do skoku jeden z czarno-białych lwów, które Lumbrilo uważał za swych magicznych sprzymierzeńców przez całe lata.

„Lew” Lumbrilo był potężniejszy niż prawdziwe zwierzę, bardziej inteligentny, bardziej niebezpieczny, ledwo różnił się od zwykłego stworzenia, które udawał. Więc były dwa lwy i oba podniosły głowy i wpatrywały się z całkowitym oddaniem w twarz medyka.

- Ruszajcie na polowanie, bracia w futrze! - zachęcił je niemal pieszczotliwie.

- Temu, na kogo polujecie, zawdzięczacie te łowy!

- Powstrzymaj je! - zawołał jakiś człowiek, który wyskoczył z ciemności.

Dan ujrzał w blasku ognia, że mężczyzna nosi mundur astronauty. Obcy

pochwycił blaster i wymierzył w bestię, która była najbliżej czarownika. Strzał okazał się celny, ale nie wyrządził bestii najmniejszej szkody, nawet nie osmalił zwierzęciu sierści. Kiedy obcy wymierzył z blastera do człowieka, Dan wystrzelił pierwszy. Trafił, o czym świadczył krzyk napastnika, który wypuścił broń z oparzonej ręki i wycofał się ślaniając na nogach. Wdzięczny Tau pomachał Danowi ręką. Wielkie zwierzęta posłusznie zwróciły głowy ku swojemu panu, choć ich czerwone oczy wciąż wpatrywały się wrogo w Lumbrilo. Nie odrywając wzroku od bestii, czarownik wyprostował się, powiedział z nienawiścią w stronę medyka:

- Nie zamierzam zostać upolowany, człowieku z piekła rodem!

- Myślę, że jednak tak będzie. Musisz sam przeżyć strach, którego doświadczyliśmy po wypiciu zatrutej wody. Niechaj wypełni twoją krew i wpełźnie w ciało, i przyćmi twój umysł, byś przestał być człowiekiem. Zapolowałeś na tych, którzy zwątpili w twoją potęgę! Którzy stanęli na twojej drodze! Których chciałeś wykorzenić jak zawadzające drzewa z podporządkowanej tobie planety. Wierzyłeś już, że Khatka będzie twoja. Czyżbyś zwątpił teraz, że czekają na ciebie w ciemności posłuszne mi bestie, gotowe powitać cię, czarowniku Lumbrilo, kłami i pazurami, gotowe wchłęptać twoją krew i wypruć twoje wnętrzności? Wiesz dobrze, że moje bestie znają wszystko, co sam znasz, a może nawet posiadają potężniejszą moc. Tej nocy ukazałeś mi moją przeszłość, by pokonały mnie moje własne słabości, nikczemność, zło, które wyrządziłem ludziom, wszystko to, czego żałuję i co mnie smuci. Więc teraz przypomnij sobie, przez tych kilka godzin, które ci pozostały, swoje własne uczynki. A teraz uciekaj!

Tak jak zapowiedział, Tau zbliżył się do obcego. Dwaj czarno-biali myśliwi podążali u jego boku. Zatrzymał się, podniósł garstkę ziemi i rozsypał trzykrotnie. Potem cisnął grudką ziemi w czarownika. Pacynka uderzyła w okolicę serca i Lumbrilo upadł jakby powalił go morderczy podmuch.

Potem Khatkanin zupełnie się załamał. Zawodząc i płacząc kręcił się w kółko, biegając na oślep w zaroślach, jakby utracił wszelką nadzieję. Za nim skoczyły bezszelestnie w gęstwinę dwie bestie i wraz z pokonanym czarownikiem przepadły w ciemności.

Tau ślaniał się z wyczerpania, trzymał się za głowę. Dan kopnął w bęben, wyprostował się i wciąż jeszcze zeszywniały ruszył w kierunku medyka. Lecz Tau jeszcze nie skończył. Stanął znów nad leżącymi plackiem tubylcami i zaklaskał głośno w ręce:

- Jesteście ludźmi i odtąd będziecie postępować jak ludzie. To, co działo się do tej pory, nie może powtórzyć się więcej. Uwalniam was od mrocznej potęgi, która ściga teraz tego, kto niewłaściwie ją zastosował. Nie lękajcie się spożywać pokarmów z waszych misek, pić z kubków, ani sypiać razem w łożu.

- Tau! - krzyk kapitana Jellico górował nad wrzawą podnoszących się z ziemi Khatkan.

Dan podbiegł pierwszy i podtrzymał ślaniającego się medyka, zanim ów runął na ziemię. Jednak pod ciężarem nieprzytomnego towarzysza sam usiadł. Przygnieciony bezwładnym ciałem przez krótką, przerażającą chwilę odniósł wrażenie, że naprawdę trzyma w ramionach martwego człowieka, że jeden z wyjętych spod prawa kłusowników pomścił swego zdyskredytowanego przywódcę zadając śmiertelne uderzenie jego wrogowi. Jednak Tau westchnął i zaczął głęboko oddychać. Dan spojrzał zdumiony na kapitana.

- On śpi!

Jellico uklęknął i sprawdził puls medyka. Potem dotknął jego podrapanej i brudnej twarzy.

- Sen to najlepsze lekarstwo! - powiedział dziarsko. - Niech śpi!

Przemyślenie tego wszystkiego, co zadecydowało o ich zwycięstwie, zabrało im trochę czasu. Dwóch kłusowników z obcych planet było martwych. Trzeci astronauta i pozostały przy życiu kłusownik byli więźniami. Nymani przeszukiwał okolicę, by odnaleźć człowieka, którego postrzelił Dan, ratując Tau. Kiedy Dan odprowadził medyka w bezpieczne miejsce i powrócił, ujrzał, że Asaki i Jellico przesłuchują jeńców. Nymani związał oszołomionych tubylców po mistrzowsku. Przesłuchiowano także astronautów, których trzymano w pewnej odległości od kłusowników z Kha-tki, choć w świetle prawa byli takimi samymi przestępcami.

- Byliście Kupcami klasy I-C - Jellico zmierzył piorunującym spojrzeniem ostatniego z przybyszy, gładząc się po policzku - którzy zbiegli i próbowali przełamać wpływy Konsorcjum? Lepiej nie zaprzeczajcie prawdzie! Wasze kierownictwo wyprze się was bez wahania. Powinniście o tym wiedzieć. Oni nigdy nie przyznają się do błędu w sprawie tak delikatnej natury.

- Potrzebuję pomocy lekarskiej! - domagał się obcy. - Lub odeślijcie mnie z tymi dzikusami.

- Widzieliśmy, jak próbowałeś zabić z blastera naszego medyka - odparł kapitan z uśmiechem, który upodobił jego twarz do paszczy rekina. - A więc może

się okaże, że nie ma on szczególnej ochoty, by opatrzyć twoje pokiereszowane paluszki. Wsadź je sobie w swój interes, a od razu je osmalisz! Nie licz na to, że obejrzy je wcześniej niż po opatrzeniu wszystkich innych rannych. Sam udzielę ci pierwszej pomocy. Ale tymczasem prowadzę przesłuchanie. Kupcy klasy I-C angażują się więc w kłusownictwo? Te nowiny niewątpliwie sprawią przyjemność waszym dawnym przełożonym z Konsorcjum!

Odpowiedź obcego była dziwna i niejasna. Lecz mundur, który nosił, nie tłumaczył wszystkiego. Wyczerpany i obolały Dan wyciągnął się na matach, nie interesując się zupełnie przesłuchaniem.

Dwa dni później przebywali znów na tym samym tarasie, gdzie Lumbrilo pierwszy raz próbował złowić ich w sieć swej magii i doznał pierwszego niepowodzenia. Tym razem magiczne błyskawice nie rozświetlały mrocznego nieba nad niebotycznymi górami, a słońce było tak jasne i wyraźne, że prawie nie mogli uwierzyć w to wszystko, co rozegrało się na moczarach, gdzie stoczyli fantastyczną bitwę, w której walczono bronią, jakiej nie zrobiono ludzkimi rękami. Trzej astronauty z „Królowej Słońca” ruszyli szybko na spotkanie Naczelnego Strażnika, który schodził po schodach.

- Właśnie przybył posłaniec. Myśliwy został upolowany, a świadkami jego śmierci było wielu ludzi, choć nie widzieli tych, którzy go zabili. Lumbrilo nie żyje, jego koniec nastąpił nad Wielką Rzeką.

- Przecież to prawie pięćdziesiąt mil od moczarów, na górskim zboczu... - powiedział Jellico z niedowierzaniem.

- Polowano na niego i zmuszono do panicznej ucieczki - tak jak zapowiedziałeś - relacjonował Asaki, zwracając się do Tau. - Władasz potężną magią, przybyszu z gwiazd!

Medyk potrząsnął wolno głową.

- Wykorzystałem tylko jego własne metody, obracając je przeciwko niemu. A ponieważ uwierzył w swoją moc, kiedy odparowałem ją i skierowałem przeciwko niemu, zwyciężyła go. Gdybym musiał stawić czoło komuś, kto zaatakowałby nas nie ufając... - Wzruszył ramionami. - Wzorowałem się na naszym pierwszym spotkaniu. Od tamtej chwili Lumbrilo obawiał się trochę, że mógłbym wyzwąć go na pojedynek i ta niepewność nadwątlila jego siły.

- Na miłość boską, dlaczego poleciłeś mi grać „Wracając na Terrę” - wybuchnął Dan, który wciąż próbował wyjaśnić choćby tę drobną tajemnicę.

- Po pierwsze - zachichotał Tau - tyle razy słuchaliśmy tej melodii, że jej rytm musiał wbić ci się w pamięć tak silnie, że bez trudu mógłbyś go wybijać na bębnie. Po drugie, jej obcy rytm neutralizował oddziaływanie na tubylców rodzimej muzyki khatkańskiej, która odgrywała wielką rolę w magicznym przedstawieniu.

Przypuszczalnie Lumbrilo był święcie przekonany, że nie odkryjemy narkotyku w wodzie i wierzył, że przerazimy się fantastycznych złudzeń, które wyzwoli w naszej wyobraźni. Kiedy jego ludzie zobaczyli, że nadchodzimy przez moczary, uznali, że będziemy łatwą zdobyczą. Ponieważ magia Lumbrilo zawsze działała na Khatkan, osądził nas według reakcji tubylców, którymi potrafił kierować. I w ten sposób przegrał...

- Co okazało się zbawienne dla Khatki - uśmiechnął się Asaki - a sprowadziło nieszczęście na Lumbrilo i tych, którzy wykorzystali go, by zasiać niezgodę na naszej planecie. Kłusowników i wyjętych spod prawa myśliwych dosięgnie sprawiedliwość, co, jak przypuszczam, nie przypadnie im do smaku. Ale pozostali dwaj, astronauta i agent Konsorcjum - zostaną odesłani na Xecho, gdzie staną przed komisją powołaną przez Konsorcjum. Sądzę, że przyjmą tam z otwartymi ramionami agentów obcej kompanii, którzy działali na terytorium podległym Konsorcjum.

- Uprzejmość i interesy Konsorcjum - mruknął Jellico - to dwie różne sprawy. Być może teraz odbędziemy podróż na tym samym statku jako wasi więźniowie...

- Ależ, mój przyjacielu, jeszcze nie widziałeś rezerwatu. Zapewniam cię, że tym razem nie będzie żadnych problemów. Pozostało jeszcze kilka dni, zanim będziesz musiał powrócić na swój statek...

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż wizyta w rezerwacie Zoboru, sir, w przyszłym roku. - Kapitan „Królowej Słońca” uściśnął rękę Naczelnemu Strażnikowi. - Teraz jednak moje wakacje się skończyły i „Królowa Słońca” czeka na nas na Xecho. Niech mi wolno będzie wysłać wam kilka taśm holograficznych, na których będziecie mogli obejrzeć najnowsze modele oblatywaczy wyposażone w system bezpieczeństwa wykluczający błędy w nawigacji.

- Tak, właśnie wykluczający błędy - dodał Tau - upadki, odchylenia kursu czy podobne atrakcje podczas miłej wycieczki.

Naczelny Strażnik wybuchnął gromkim śmiechem, który przetoczył się echem wśród pobliskich wzgórz.

- Znakomicie, kapitanie. Statek pocztowy zawiezie was z powrotem na Xecho, lądując tu i ówdzie. Tymczasem obejrzę wasze taśmy, a szczególnie niezawodne

oblatywacze. Ale zwiedzicie Zoboru z ogromną przyjemnością, zapewniam cię,
medyku Tau.

- Sądzę - szepnął Tau do Dana - że po tym wszystkim o wiele bardziej
odpowiadałaby mi cisza bezkresnej przestrzeni!